

MA-50
BIBLIOTEKA
Z. N. im. Ossolińskich
R. 1947
295360

W 1-50

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 5 stycznia 1947 r.

Nr 1 (80)

Jan Aleksander Król

MIŁKOWSZCZYŃNA*)

Część I

Książka Stanisława Miłkowskiego: „Agraryzm jako forma przebudowy ustroju społecznego” ukazała się przed 12-tu laty. Z poza czasów zamętu i wojny wystręcza dziś, jak drogowskaz, który dość przeżył lat, aby umacniać w wierze o trafności wskazywanego kierunku.

A przecież książka ta nie jest jednolita i konsekwentna. Przeciwnie, zamącona do dna — czyni wrażenie tragicznego dokumentu szarpaniny duchowej pokolenia, które trafnie odczuło zbliżanie się przemowego momentu, miało jednak za mało wiedzy o siłach społecznych i obiektywnych warunkach historycznych i nazbyt było obciążone tradycją, aby odsonić prawdziwe oblicze rzeczywistości społecznej i wykreślić realną i skuteczną drogę przebudowy.

Nie możemy patrzeć na książkę Miłkowskiego, jak na jego wyłączny produkt. Był on tylko sekretarzem, który zaprotokołował chaos dyskusji, szlachetnej w pobudkach i wyczulonej na przemiany historyczne bez porównania bardziej niż w wielu innych środowiskach.

Czas dziś ustawić czytelnika w pozycji rewidenta, który nie da się porwać emocjonalnie urzekającemu chaosowi, a potrafi dojrzeć zbitkową strukturę ideologii agraryzmu, potrafi wyróżnić jej niespójne o rozmaitym rodowodzie elementy i błędy pokolenia międzywojennego sprostować i naprawić, co nie umniejsza zasług tych, którzy przed laty podjęli pionierską próbę.

MORALISTA PRÓBUJE ZATRZYMAĆ HISTORIĘ

Miłkowski reprezentował ten odłam ruchu młodo-wiejskiego, który miał ambicję nadać myśli ludowej rangę teorii „naukowo uzasadnionej”. Ale tak on, jak inni, sądzili, że wystarczy program „bardziej precyzyzować” i „szczegółowiej formułować”, aby ideologia przyjęła kształt teorii.

Unaukowienie myśli ludowej w jego praktyce sprowadza się do wyspekulowania dla ideologii odpowiedniej teorii dziejów. Przy szczegółowszym i obfitszym formułowaniu programu udaje mu się zamienić typ zdania wartościującego: ja chcę tego a tego na typ zdania opisowego: rzeczy mają się tak i zdążają właśnie tam (gdzie ich oczekuje). Ale z tego powodu jego teoria dziejów wcale nie przestaje być narzędziem dla oczywistego fantazjowania ideologa. Nie przestaje być wielkim kazaniem moralisty.

I tak, krytykę kapitalizmu podejmuje w jednym wyłącznie aspekcie. Kapitalizm to — wyzysk, panowanie pieniądza, uposledzenie i nędza chłopów i robotników. „Chłop odrabia dzisiaj równie wielką pańszczyznę jak za czasów istnienia faktycznej pańszczyzny. Różnica polega tylko na tym, że bał nie świszcze po jego barkach. Zmieniła się forma, ale treść i pozostała ta sama”. Jest oczywiście, że treść wieku XIX i XX-go, jaka odsłania się dla historyka, socjologa i ekonomisty pozostaje poza sferą jego zainteresowań i zobowiązań. Pojęcie niewolnictwa ważne jest dla niego w najbardziej ogólnikowym użyciu, ale dla kogoż ma wartość tak szerokie rozumienie niewolnictwa, przy którym znaczy ono to

samo w starożytności, co w feudalizmie i kapitalizmie? Napewno nie dla tych, którzy uprawiają naukę. Bo właśnie o treści i funkcji niewolnictwa w każdej z wymienionych epok rozstrzyga konkretny i swoisty wówczas układ społecznych stosunków produkcji. I podczas, kiedy poznanie i zrozumienie tych stosunków winno stać się podstawą dla wyprowadzenia poprawnych wniosków praktycznych, Miłkowski wyrzeka się tego obowiązku i tej nagłej potrzeby. W jego rozumieniu: „zmieniła się forma, ale treść pozostała ta sama”. Pocóż poznać formę? Ale „wieczna” treść to nie wynik poznania naukowego a tylko dyktanckich obserwacji. W ten sposób można było wypisywać nie kończące się indeksy wątków: smutku, żalu, radości, spalin, jedzenia itd., które miały przecież miejsce w każdej epoce, w każdym pokoleniu. Oto te same, „wieczne” treści.

Już przy krytyce kapitalizmu da się uchwycić tę wartość etyczną, jaką w luźnym systemie moralistyki Miłkowskiego gra rolę założenia.

Jest nią „wolność jednostki”. Kapitalizm dlatego jest zły, że odbiera wolność ekonomiczną. Z sympatią mówi Miłkowski o okresie liberalizmu. Panowała wówczas klasyczna wolna konkurencja, która „nie dopuszczała do wytworzenia się większych różnic w kształtowaniu się cen”, nie dopuszczała „do oddziaływania kierownictwa z zewnątrz”, państwo nie mieszało się do życia gospodarczego, jednostka była wolna i samodzielna.

Dramat zaczyna się dopiero w szczytowym okresie kapitalizmu. Miłkowski widzi w nim nie konsekwentny rozwój niezauważalnie przygotowanych w pierwszej fazie możliwości dla sił produkcyjnych i społecznych kapitalizmu, a nieoczekiwane przeciwieństwo, molocho pożerającego złote czasy drobnej produkcji i wymiany. „Karteles są pewnego rodzaju pasożytniczymi narostami na ciele ustroju liberalistycznego. Usuwanie wolną konkurencję, wywołują... zmianę układu sił społeczno-gospodarczych. Fakt ten prowadzi do uposledzenia

i wyzysku warstwy chłopskiej i robotniczej przez przemysł”.

Kiedy moralista wgląda w historię, powtarza się scena z cieniami, którą jako pouczający przykład podawał kiedyś Sokrates. W tej opowieści występują żywi ludzie i ich cienie na ścianie groty, cienie ogląda bohater opowieści i po nich sądzi o życiu. Rzeczywistością był liberalizm, był rozwój przemysłu i zmiany w układzie sił społecznych, ale Miłkowski założył sobie, że wystarczy mu cienie, jakie historia rzuci na ekran jego ideologii. Dlatego liberalizm w stosunku do monopolów to moralny okres, brak większych różnic w kształtowaniu się cen — dobrze się wówczas żyło, czemu tak nie żyć obecnie? Była wtedy drobna produkcja i drobna wymiana, dzisiaj jeszcze jest podobnie na naszej wsi. A więc jeśli zmieniły ten stan rzeczy: przemysł i nowy układ sił społecznych — wyciąć te narośle! Ale nowy układ to nie tylko wąska liczebnie klasa kapitalistów, to również nowa w historii klasa robotnicza — główny producent w cywilizacji przemysłowej. Miłkowski twierdzi jednak, że w tej cywilizacji „maszyna jest wszystkim a człowiek tylko dodatkiem”. Ginie dlatego wolność jednostki w stosunku do narzędzi i zadań jej pracy. A najważniejsza przecież ta bliżej nieokreślona wolność. Gdyby zatem jej bronić, przeciw czemu również należałoby wystąpić? Przeciw cywilizacji przemysłowej, jej siedliskom — miastom oraz przeciw spadkobiercy tej cywilizacji — klasie robotniczej.

DLACZEGO PRZECIW KLASIE ROBOTNICZEJ?

I Miłkowski na wystąpienie to — decyduje się. Słusznie stwierdza, że „cała walka, która się dzisiaj rozgrywa o przyszłe formy ustrojowe świata, dokonuje się z jednej strony między broniącym się kapitalizmem, a atakującymi go z drugiej strony poszczególnymi kierunkami socjalistycznymi”. Jest to rzadki u niego blysk poznania, odsłaniający rzeczywistość historyczną, ale tylko na moment. Miłkowski bowiem nie czuje

się zobowiązany wobec rzeczywistości, którą dostrzega. A nie czuje się zobowiązany dlatego, że dostrzega ją poprzez cienie ideologii, jakie ona rzuca. Ideologiom innych klas można wszak przeciwstawić program własnej klasy. Stąd, wbrew temu, co sam przedtem stwierdził, wnioskuje, iż w walkę o przyszłe formy ustrojowe świata wliczyć należy również „warstwę chłopską”, jako trzecią siłę.

I tu popełnia błąd podstawowy — teoretyczny i praktyczny. Teoretyczny polega na tym, że w imię trzeciej siły Miłkowski odrzuca i kapitalizm i socjalizm. Praktycznie — wchodzi w konflikt i z „oligarchią finansową” i z klasą robotniczą.

Czyni to w imię naczelnej zasady agraryzmu i wolności jednostki. Żeby ułatwić sobie zadanie, ruch robotniczy podciąga pod ideologię komunizmu i rozprawia się z nią jak przystało na moralistę:

„Komunizm prowadzi do całkowitego zmechanizowania i zbiorowizacji życia we wszystkich jego przejawach. W ustroju tym z natury rzeczy musi zniknąć wolność osobista jednostki, gdyż człowiek obwarowany ze wszystkich stron różnego rodzaju przepisami, wykonujący każdą, nawet drobną czynność według z góry ustalonej formułki, nie jest w stanie swobodnie się poruszać i musi zejść do roli bezmyślnej maszyny. A więc komunizm prowadzi do pozbawienia człowieka największego jego dobra, jakim jest wolność osobista”.

Nietrudno zauważyć, że Miłkowski bije w klasę robotniczą z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że reprezentuje ona inny system produkcji, niż warstwa chłopska — produkcji uprzemysłowionej. „W tym systemie maszyna jest wszystkim, a człowiek tylko dodatkiem... w produkcji rolnej występuje zjawisko odwrotne — człowiek odgrywa rolę decydującą — maszyna zaś pomocniczą”. Po drugie klasa robotnicza — w jego ocenie — sobie wyłącznie przypisuje „tego rodzaju wartości twórcze, w oparciu o które można będzie budować nowy, sprawiedliwy ustrój społeczno-gospodarczy”.

Czy jest więc do przyjęcia, aby ruch robotniczy narzucił „warstwę chłopskiej obce jej formy gospodarowania” i nowy ustrój powstał tylko „w oparciu o jedną warstwę społeczną”?

Zarzuły te słyszy się jeszcze i dzisiaj. Są one jednak źle postawione. Żle dlatego, iż wyrosły z moralistycznej, dyktanckiej oceny kapitalizmu, czym zastąpiono odpowiednią naukową analizę.

Kapitalizm przeszedł kilka faz w swoim rozwoju. Okres, w którym Miłkowski krzyczy o nędzy i niesprawiedliwości, jest jego szczytowym i końcowym okresem. Panują monopole i kapitał finansowy. Tak wygląda fasada tego ustroju, społecznie i moralnie najbardziej oburzająca. Poza nią znajduje się rusztowanie cywilizacyjne, budowane półtora wieku, z którego historia tylko część może odrzucić. Nie odrzuci nowego systemu produkcji przemysłowej. Odrzuci natomiast to, co przeszkadzało w jego postępie i upowszechnieniu, odrzuci zatem siłę kierującą dotąd cywilizacją techniczną — kapitalizm. On ją bowiem wprowadził najpierw rozwijał, ale i skutecznie później hamował. Nastawiony na zysk od kapitału za cel gospodarowania miał nie zwiększanie ilości produktów, lecz powięk-



G. K. Chesterton

przełożył Tadeusz Chrościelewski

Trzej Królowie

Idźmy cicho pod deszczem i w śniegową roztaję
Aby miejsce odnaleźć, gdzie modlą się dusze!
A droga zakreślona przed nami tak prosto
Że najłatwiej z niej zboczyć w nieprzebyte głusze.

Myśmy trzej królowie z ubiegłej godziny
We wszystko okrom prawdy bogaci;
Ze wzgórz na wzgórze oto wciąż błądzimy
I wśród drzew leśnych las nam się zatraci.

Idźmy pokornie przez śnieg i czas dżdżysty,
Droga tak prosta, że mógłbyś się zwinąć
I zgubić drogę, a żłobek tak blisko,
Że łatwo odejść w odległą krainę.

*) Rozdział książki p.t. „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej”, która ukazała się w tych dniach, wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

295 360 //

szanie kapitału — **rentowność**. Ponieważ wraz z postępem technicznym rośnie wartość maszyn w stosunku do wartości placu roboczych, zysk zatem przedsiębiorstwa, czerpany z „wartości dodatkowej”, rabowanej robotnikowi — maleje. Dlatego kartele i trusty tamowały rozwój techniki. Ograniczały produkcję, podwyższając ceny. Zmniejszenie podaży dawało zysk, ale szerokie masy oddały w ten sposób od prawa do stałej, zapewnionej pracy i od korzystania z towarów nowoczesnej produkcji, której technika jedynie może podobać zwiększonemu w treści i ilości zapotrzebowaniu nowożytnych narodów.

I Miłkowski, przedstawiający robotnika w roli dodatku do maszyny, przedstawiający miasta jako źródła „wynaturzenia człowieka”, jako wielką fabrykę zbrodni fizycznych i moralnych, zaburzeń umysłowych i nerwowych — reagował na rzeczywistość kapitalistyczną. Kiedy kapitalizm wygrywa na robotniku niekwalifikowanym, obciążonym nadmierną ilością godzin pracy, pozbawionym higienicznych warunków, opieki lekarskiej i pewności pracy, kiedy istnieje rynek kupnych sił roboczych, utrwalony stałym bezrobociem, kiedy przemysł nie dochodzi do wsi, a rosną nożyce cen... wówczas cienie miast rzucają na ekran egzaltacji chłopskiej, daleki obraz tragedii „bezużytecznego” zmechanizowania.

USPOŁECZNIE NIE PRODUKCJI

Kapitalizm skoncentrował nie tylko w kilku rękach zysk — stały, w formie maszyn i źródeł surowców oraz zmienny, w formie akumulacji nadwartości placu robotniczych i bankowych kapitałów do lichwiarskich operacji. Skoncentrował również samą pracę. Ta koncentracja jest wynikiem walki w ramach wolnej konkurencji i wyrosła w oparciu o logikę prywatnego interesu. — Wszak trust to powiązanie źródeł surowców z fabrykami wszystkich poszczególnych stadiów produkcji głównego towaru. Kartele — powiązanie w całość jednej czy kilku gałęzi przemysłu. Jeszcze wyższy stopień koncentracji — to banki w nowej roli kapitalizmu finansowego, który łączy równocześnie politykę inwestycji przemysłowych, umów handlowych, pożyczek zagranicznych, poprzedzających inwestycje i eksploatację przemysłową, albo nawet wprost zabór terytorialny dla zapewnienia sobie źródeł surowców, rynku zbytu, sił roboczych itd.

We wszystkich tych formach koncentracji się organizacji kapitalizmu, a uwielconej panowaniem kilkuset „oligarchów finansowych”, w których ręku spoczywał los 8/10 produkcji świata — widać jak rośnie uspołecznienie produkcji. To znaczy po 1) rozmiary klasy robotniczej, głównego producenta (mimo, że przez kapitalizm ograniczane) w stosunku do nikłej i malejącej liczby dysponentów produkcji — po 2) rozszerzanie się planowania gospodarczego.

W tej chwili obejmuje ono cały świat. — Układane jednak przez kilkunastu równocześnie oligarchów, zainteresowanych w swoich prywatnych zyskach, dają obraz chaosu na przedostatnim szczeblu powszechnego ładu. Chaos ten jest najtragiczniejszy, ponieważ w konflikt kilku planów zaangażowany jest już cały świat. Kapitalizm imperialny dokonał w początku XX-go wieku ostatecznego podziału kuli ziemskiej. Pierwsza i druga wojna światowa były próbą naruszenia tej łupieżczej równowagi na rzecz młodszych, agresywniejszych konkurentów, tak na przykład Niemcy i Japonia. Obie wojny zdruzgotaly Niemcy, ostatecznie Japonię, osłabiły Anglię, wzmocniły Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, reprezentujący przeciwny kapitalizmowi porządek.

Kapitalizm imperialny do służby dla swych podbojów użył majestatu państw i narodów, przerzucając konflikt społeczny z walki klasowej wewnątrz narodów na wojnę narodów. Uczynił lennikami a często wprost niewolnikami ekonomicznymi nieuprzemysłowione kraje, nie rzadko nie tracąc tam sympatii dla tych kilku bezwzględnie eksploatujących mocarstw światowych.

Kapitalizm panuje nie tylko w znaczeniu stylu organizacji i techniki produkcji — nie to rozstrzyga, że wszędzie o rynku cen i towarów decyduje prywatna fabryczka lokalna, że wszędzie zwyciężył ambicji jednostkowej jest pozycja rentiera — kapitalizm panuje dziś nad światem w znaczeniu zasadniczym. Mniejsze i większe środki produkcyjne, mniejsze i większe banki wpyły jak strumienie i rzeki do kilku oceanów... dyspozycji finansowych ostatecznie rozstrzygających o „klimacie” procesów ekonomicznych i społecznych świata.

Pod fasadą koncentracji kapitału oglądamy osiągniętą światową koncentrację warunków pracy (surowców, techniki i finansów oraz koncentrację samej pracy). Jest ona już obecnie w stadium wielkich skupisk robotniczych i wielkiego zróżnicowania funkcjonalnego.

Ten kierunek rozwoju form pracy — nieunikniony w cywilizacji technicznej — znajduje się o krok od zlikwidowania kapitalizmu. Pełne bowiem uzgodnione zorganizowanie procesów produkcji na całej kuli ziemskiej wywraca kapitalizm.

Miał rację Miłkowski, widząc w perspektywie światowej jako główne siły w walce: kapitalizm i ruch robotniczy. Ale dlatego niczego więcej w tej perspektywie dojrzeć nie można. Nic tu więcej nie rozstrzyga ani „Inteligencja”, ani „chłopi”.

Inteligencja z roli pretorianów kapitalizmu przejść musi na stanowisko uspołecznionego świata pracy, chłopci włączyć się i wznieść na poziom systemu produkcji nowoczesnego świata pracy.

W rozwoju techniki leży powiększenie i udoskonalenie produkujących fabryk. — W interesie klasy robotniczej leży postęp techniki, bo oznacza on 1) zapewnioną dla wszystkich pracę, 2) pracę ułatwioną, odpowiadającą zainteresowaniom i uzdolnieniom osobistym oraz ulegającą coraz większemu skróceniu, 3) oznaczającą zwiększoną ilość produkcji, a zatem tańsze i obfitsze możliwości zaspokojenia potrzeb najszerzych mas.

W świetle tego, co zostało powiedziane, Miłkowskiego moralistyczna krytyka klasy robotniczej po przez krytykę komunizmu grzeszy rozbrajającą naiwnością.

Miłkowski nie widzi w kapitalizmie zmechanizowania i biurokratyzowania, nie widzi „czynności według ustalonej formuły”. Jak grom z jasnego nieba spada to wszystko — w jego mniemaniu — dopiero w programach klasy robotniczej.

Warto tedy przypomnieć, co stwierdzano na ten temat w niemieckim piśmie ekonomicznym „Die Bank”, jeszcze w roku 1912.

„Trzydzieści lat temu wolno-konkurujący ze sobą przedsiębiorcy dokonywali 9/10 tej pracy ekonomicznej, która nie należy do dziedziny pracy fizycznej robotników. — Obecnie urzędnicy wykonują 9/10 tej ekonomicznej pracy umysłowej. Bankowość stoi na czele tego rozwoju”.

Proces ten nie stanowi specyfiku kapitalizmu, choć w jego systemie rozwinął się i jemu służył. Przeciwnie, proces ten im bliższy jest pełni, tym groźniejszy staje się dla kapitalizmu. Prowadzi bowiem do całkowitego uspołecznienia produkcji, zatem do likwidacji nawet tych ostatnich Mohikanów — kilkuset oligarchów świata i zastąpienia ich woli nie tylko przez wolę świata

ta pracy w technicznej jego funkcji — ten stan osiągnięty został już do tyłu co najmniej, że faktycznym producentem — wykończoną jest ten sam lud, którego kapitalizm ograbia z dochodu społecznego i prawa do zaspokojenia potrzeb materialnych i duchowych — ale co najważniejsze, prowadzi do zastąpienia anarchizującej ekonomicznie woli oligarchów przez jeden powszechny plan gospodarki, powstający z woli całego świata pracy dla solidarnego gromadzenia bogactw i sprawiedliwego w konsekwencji zaspokojenia potrzeb wszystkich ludzi.

W wystąpieniu Miłkowskiego wyraża się przeświadczenie, jaka dzieli tradycję wsi, niewyzwolonej wciąż jeszcze ze średniowiecznej „gospodarki naturalnej” i wczesno-kapitalistycznego (zniesienie pańszczyzny) rozbięcia uspołecznionych form produkcji na schodową, drobnicową i rozproszkowaną gospodarkę chłopską — od tradycji europejskiej i światowej, jaka w ciągu ostatniego półtora wieku oparła ludzkość o system gospodarki towarowej — przemysłowej — powiązanej i wymagającej coraz większego ujednolicenia w planowaniu i technice.

Dlatego jego oskarżenie sięga niestety o wiele poza kapitalizm i komunizm. Przed czym ostatecznie broni Miłkowski „wolności jednostki”? Przed „zmechanizowaniem”, przed „zejsięciem do roli maszyny”. I to zarówno w wypadku kapitalizmu jak socjalizmu. Jeden diabeł! A jeśli tak, to mamy tu do czynienia z zerwaniem z wiekowym wątkiem cywilizacji europejskiej, mamy przeciwstawienie bogactwu nauk przyrodniczych i ich praktycznym konsekwencjom — fantazji, marzenia o powrocie wstecz do improwizowanej przez jednostkę gospodarki, do „wolnej, a „rzetelnej” konkurencji w drobnej produkcji i drobnej wymianie.

Marzenie to uraga rzeczywistości — tj. istnieniu najwyższej fazy kapitalizmu o uspołecznionej produkcji w światowym zasięgu. Uraga również faktycznym potrzebom mas ludowych, które pragną największej i najłżejszej produkcji oraz najsprawniejszego rozdziału dochodu społecznego.

Pasładając w swoim ręku sztukę produkcji właśnie najobfitszej i najłżejszej nie wyrzekną się nowoczesnej techniki i organizacji jednoczącej złożone procesy produkcji. I nie przestaną walczyć o to, czego im brak: prawa wszystkich pracujących do decydowania o wspólnej, sprawiedliwej gospodarce.

WIEŚ W EPOCE KAPITALIZMU

W epoce industrializacji procent ludności rolniczej w stosunku do pracowników w innych zawodach ulegał stale zmniejszeniu aż do granicy, przy której traci ona społeczną odrębność „warstwy chłopskiej”. Jest to proces nieodwracalny. Historia wymazuje ze swych kart nie tylko klasę wiejską, ale i związaną z nią jednościami systemu feudalnego „warstwę chłopską”. — Nowy system produkcji zmienia tradycyjny układ społecznych sił produkcji.

Jaką rolę odgrywa w tym epokowym procesie kapitalizm? Haniebną. Potrzebuje sił roboczych do nowej gospodarki przemysłowej. Pierwszym rezerwuarem staje się dla niego jeszcze ze średniowiecza pozostały typ ludzi t. zw. luźnych-obleżyświatów. To nie wystarcza. W Anglii wysiedla się chłopów. Drobna gospodarka zostaje zamieniona na hodowlane latyfundi. Przybiera robotnik do miast i fabryk.

Ustępstwa czynione na rzecz chłopów w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym — przede wszystkim prawo o puszczenia wsi — również miały na widoku próbę rozwinięcia u nas przemysłu. Była to w większości wypadków pańska robotnia. Chłop okazywał się bardziej rentowny w fabryce niż na pańszczyźnianym gruncie. Ale Staszyc pod powierzchnią oświeconego interesu Tyzenhauzów, Małachowskich, Potockich i Lubieckich widział jedyną szansę podniesienia się ludu i wejścia w naród. Któż plastyczniej od niego opisał nędzę i dziczynę gospodarki chłopskiej i któż wówczas namieniał odkrywać możliwości górnicze i przemysłowe w kraju? Jeśli — jak słusznie rozumował Staszyc — od tego typu gospodarki zależy bogactwo i potęga nowoczesnego państwa, to skoro lud ją rozwinię, stanie się klasą rzeczywistą decydującą.

Gdyby Miłkowski przeczytał sobie Staszycę, przekonałby się, że ten myśliciel i badacz skarbow polskiej ziemi stopięćdziesiąt lat

temu „zrobotniczeniu” ludu przypisywał niezwykłą przyszłość: faktyczne kierowanie losem narodu.

Byli u nas ludzie, którzy w pierwszych brząskach industrializmu europejskiego umieli zrozumieć i docenić ekonomiczną wartość nowego systemu produkcji i związanych z nim przeobrażeń społecznych. — Niestety, stare grzechy, jak zniszczenie miast w XVI wieku, a po tym okres niewoli zachowały w kraju prymat ziemiaństwa, a wraz z nim niezmienną wieś.

Kapitalizm, jak to już mówiliśmy, nastawiony nie na produktywność, lecz na rentowność, na ostatnim planie kładł techniczne podniesienie wsi. Nie w tym leżał problem, że wieś produkowała mało i nieopłacalnie, ale, że właśnie w cenie jej towaru mogła być nie zaliczona płaca robocza. W stosunku do przemysłowego rynku cen towar ten był zbywany z dopłatą chłopa, równą cenie pracy wielu dniów jego rodziny.

Kapitalizm promieniował z kilku krajów. Im bliżej zasięgu jego źródeł, tym szybciej wieś z konieczności wyludniała się, a równocześnie wchodziła w wyższe formy produkcji i korzystała w większym stopniu z dobrodziejstw cywilizacji technicznej. Wpływały na to dwa powody — 1) Rozwój przemysłowy krajów rosnącego kapitalizmu, zatrzymując wieś w jej tradycyjnym systemie gospodarki, stwarzał taką ekonomiczną dysproporcję, że nędza i nieopłacalność na wsi zapewniała mu na długo tani rezerwuariat roboczych sił do miast. 2) Te przesunięcia kazały w następstwie uprzywilejować we własnym interesie, jako bazę żywnościową, własne, o zmniejszonej sile ludzkiej, rolnictwo, a nawet kraje okoliczne. Pomyślność chłopskiej, rolniczej Danii, należy przypisać jej roli „dojnego wymienia” u brzegów W. Brytanii. Anglia wygrała ją przeciw Niemcom, młodemu energicznemu konkurentowi w kapitalistycznym imperializmie. Słusznie prof. Chałasiński datuje wzrost znaczenia i rozwój Uniwersytetów Ludowych w Danii od czasu jej pierwszej wielkiej wystawy rolniczej. Po wojnie duńsko-niemieckiej Anglia odebrała Niemcom tę bazę żywnościową i uczyniła wiele aby uintensywnić jej produkcję. Za jednym posunięciem ubiła dwie korzyści — utrudniła Niemcom sytuację państwa przemysłowego, a sama zyskała tańsze od kolonialnego (kosztu transportu) zaplecze żywnościowe w artykułach wymagających częstej i szybkiej dostawy.

W innej roli znalazły się oddalone państwa rolnicze. Cała t. zw. wschodnia Europa. Tu wcale już nie opłacało się kapitalizmowiłożyć inwestycji (wieś — najwęższe przestrzenie i najbardziej rozproszona praca) na zastąpienie obfitej i najtańszej siły ludzkiej siłą techniki i odpowiednich nauk. Nie stać na to było załógowych przemysłów krajowych, z reguły pozostających w zależności od banków zagranicznych i z reguły posiadających jako właścicieli obcych przemysłowców. Nawet w potężnej Rosji carskiej w 1913 roku największe jej Banki narodowe siedziały w portfelu banków niemieckich („Rosyjski” w Banku Niemieckim, „Petersburski” w berlińskim Towarzystwie Dyskontowym) i w takich warunkach zaczynała się wojna światowa.

Oddalone rolnicze kraje spotykał los „pół-kolonii”. Penetracja miała za zadanie oprócz eksploatacji uniedostępnić im wyjście z zapóźnienia cywilizacyjnego, co byłoby równoznaczne z wejściem na drogę konkurencji z panującymi państwami kapitalistycznymi. Jasne, że największą ofiarą w tych pół-kolonialnych stosunkach padała warstwa chłopska, tak, że poza muzeami dziś ona jest ostatnim jeszcze, żywym eksponatem średniowiecza.

NOWOCZESNY ŚWIAT PRACY, CZY FANTAZJE AGRARIZMU?

Czy Miłkowski nie rozumiał, że właśnie ten stan cywilizacyjny opóźnienia wsi jest jej dramatem, a nie konieczność wejścia w wyższy system produkcji i w nowy układ stosunków społecznych?

Czy nie widział, że w krajach uprzemysłowionych ilość ludności rolniczej waha się między 6 a 30 procentami? Czy nie dostrzegł, że zaciera się tam granica między miastem a wsią? Że ci pracujący na wsi, to zawodowcy, technicy, specjaliści? Że mamy tu co najmniej typ przedsiębiorcy, nastawionego na jeden czy kilka wybranych rodzajów produkcji rolnej, przedsiębiorcy włączonych w odpowiednie ogniwie branżowe, w gałąź odpowiedniego

JAN ALEKSANDER KRÓL

DROGOWSKAZY
NA MANOWCACH
KULTURY LUDOWEJ

str. 290.

PAŃSTWOWY INSTYTUT
W Y D A W N I C Z Y
WARSZAWA

przemysłu i stałego runku zbytu. Że mamy, jak w Anglii czy St. Zjednoczonych typ nowoczesnego robotnika: ślusarza, traktorzystę, mleczarza, higienistę, dojarza, przyrządzacza karmu, ogrodnika, planatora itd. Że ten robotnik należy do Związku Zawodowego, opiera się o umowy zbiorowe, ma ośmiodziesiętny dzień pracy?

Cóż zatem znaczył lęk przedtym, aby nowy ustroj nie powstał wyłącznie „w oparciu o jedną warstwę społeczną”? Cóż wyrażało oskarżenie klasy robotniczej o przypisywanie sobie przez nią takich twórczych wartości, które jedynie mogą być fundamentem sprawiedliwego ustroju społeczno - gospodarczego?

Lęki te i oskarżenia powstały w wyniku niezrozumienia przez Miłkowskiego charakteru awansu warstwy chłopskiej. Jej wejście w naród nie może odbyć się na zasadzie zachowania odrębności, którą uformowały przeszłe stulecia, to znaczy feudalna struktura socjalna i tamten układ społecznych stosunków produkcji, zmodyfikowany popańszczyźnianym drobno - kapitalistycznym liberalizmem.

Wejście chłopów w naród wiąże się z ujednoliceniem społecznym narodu. Podstawą tego ujednolicenia jest **jedność systemu produkcyjnego**. Technizacja, uprzedmiotowienie, narodowy plan gospodarczy — oto nowe czynniki wiążące i ujednolajające społecznie. Są one silniejsze i ważniejsze dziś nad różnice rodzajów surowców i gałęzi produkcji.

Nowy ustroj ma się oprzeć nie o jedną klasę w tradycyjnym znaczeniu. Ma się oprzeć o jeden, wspólny, nowoczesny świat pracy, którego pionierem narodowym był robotnik fabryczny i o tyle jest on tu wzorem. Od rozszerzenia się tego nowoczesnego świata pracy na całe społeczeństwo, na warstwę chłopską, zależy osiągnięcie nowego zjednoczenia w naszym narodzie, osiągnięcie pełnej demokracji.

Gdyby Miłkowski zabiegał o zachowanie na wsi prywatnej własności w imię partykularnego rozwiązania uspołecznienia środków produkcji wówczas byłaby to dyskusja płodna a nie szkodliwa.

Wszak prywatność gospodarek chłopskich została w nowej Polsce zachowana właśnie w słusznym uszanowaniu warstwy chłopskiej za jej tragiczne dzieje, w słusznym przekonaniu o jej przynależności do świata pracy oraz w niemniej chyba słusznej nadziei, na jej ambicję dobrowolnego i twórczego włączenia się w nowoczesne formy uspołecznionej produkcji.

Ale u Miłkowskiego sprawa niekolokalizowania wsi stała się okazją do przypisania ruchowi robotniczemu doktrynalnej ciasnoty, poza którą wyjść nie chce i nie może. Charakterystyka ta mogła i chciała chłopów przestraszyć. Miłkowski zerwał mosty przez swoją niewiedzę, historyka, ekonomisty i socjologa.

I jak zaczął, tak też kończy. Odrzucając warstwę chłopską od jedności z nowoczesnym światem pracy, ukazuje jej wizję przyszłości, która nawet elementarnie nie liczy się z rzeczywistością historyczną i rozwija się co krok na fałszach i bredniach.

„Jeśli się zważy, że z załamaniem się kapitalizmu i powolnym upadkiem kultury zachodniej łączy się również organicznie problem przeżycia się ludów romańskich i germańskich — to z tych ogólnych przesłanek możemy wyciągnąć wniosek, że przodująca rola w budowie nowego świata winna przypaść w udziale narodom słowiańskim, jako kulturalnie młodym i o niewyczerpanym jeszcze zasobie sił twórczych. Słowianie charakterem swoim w dużym stopniu różnią się od innych narodów i w ich naturze można się doszukać dużo pierwiastków dodatnich, mogących się stać, zaczynem przyszłego, sprawiedliwego ustroju. A przecież słowianie to przeważnie rolnicy”.

Oto, jak klasycznie zemściło się na tym „ekonomiście” całkowicie podporządkowanie się spekulacjom filozoficznym w stylu Bujaka i Niecki. Któż to poważnie wiąże z upadkiem kapitalizmu upadek kultury zachodniej? I co się tu rozumie pod terminem „kultura zachodnia”? Kto poważnie stawia zagadnienie „przeżycia się” (biologicznego?) narodów germańskich i romańskich? I to w prostej zależności od losu kapitalizmu? Kto poważnie reklamuje Słowian z tytułu ich młodszości kulturowej i specyficznych „pierwiastków” ich „natury”? Kto to na serio mniema, że narody mają określony swój czas biologiczny, że w tej biologii, jak w naczyniu przechowuje się gotowy model kultury i kie-

dy go naród zreprodukuje w historii, historia mówi mu do widzenia i naród umiera, biologia jego się wyczerpała? Kto na wyspekulowanych cechach „podrasy” opiera przewidywania przemian społecznych i gospodarczych? Dla kogo te subiektywnie zarejestrowane „pierwiastki” „na-

tury” narodów słowiańskich grają najważniejszą rolę w budowie nowego ustroju? Kto wreszcie z obserwacji, że w najbliższej zapóźnionej cywilizacyjnie krajach słowiańskich „największa ilość ludności znajduje się na wsi — wyciąga wniosek o specjalnym posłannictwie chłopskim, któ-

re świat powróci „do praw i zasad ziemi, do współżycia człowieka z przyrodą i praw rządzących produkcją drobnorolniczą”?

A tak się przedstawia historiozoficzna nadbudowa agraryzmu!

J. A. Król

D. c. n.

Bylina o zagładzie bohaterów

Wyjechał w stronę Safat — rzeki
O zachodzie czerwonego słonka
Siedmiu śmiałych rosyjskich wiciadźów,
Siedmiu tęgich braci ukochanych:
To wyjechał Godeńko Błudowicz
I Wasyli Kazimierzowicz,
I Wasyli Busławajewicz,
I Iwańko — Gostyna syn,
I Alosza Popowicz młody,
I Dobrynia — piękny młodzieniec,
I wyjechał ten kozak zwalisty,
Ten zwalisty kozak Ilia Muromiec...
A tam przed nimi rozścielił się pole gołe.
Na tym polu siwy dąb stoi,
Siwy dąb stoi żylasty.

A u tego dębu trzy drogi się zeszyły:
Jak raz pierwsza to do Nowogrodu,
A ta wtóra do sławnego Kijowa,
A ta trzecia do siniego morza,
Do siniego — morza — dalekiego.
Przystanęli wiciadze na rozstaju,
Zaciągając biały namiot płócienny,
Puszczając wolno konie, niech skaczą w polu
gotym.
Skaczą konie po jedwabnej trawie —
darni,

Zielonutką darń poszczypują,
Pozłocistą uzdeczką pobrzękują,
A wiciadze w namiocie płóciennym
Spoczynek odprawiają.
A było to o wschodzie czerwonego słonka...
Wstaje młody Dobrynia raniej niżli inni,
Umywa się chłodną wodziczką,
Wyciera się cienkim ręczniczkiem,
Pomodził się przed świętym obrazem...
Aż ujrzy Dobrynia za Safat — rzeką
Biały płócienny namiot.
A w namiocie leży Tatareczek —
Zły Tatareczek — bisurmaneczek.
Siodła Dobrynia konia bułanego
Kładzie na niego potniczki,
Na potniczki — wołoczki,
To siodelko czermkie,
Te włóczki uzarmieckie
I dosiada konia bułanego.
Koi się pod Dobranią rozhuła,
Od ziemi — macochy odrywa,
Daje chodu na wiorstę mierzoną,

Daje susy by stożi wysokie
I podejżda pod namiot płócienny.
Tedy krzyknę Dobrynia głosem mocnym:
— Tee! wyłażno, Tatareczku —
Zły Tatareczku — bisurmaneczku,
Będziewa z tobą, godny toczyć bój!
Nie dwa wiatry w polu się chwycą,
Nie dwie chmury w niebie się zepną,
Chwycą się, zepną się dwa prześmiałe
wiciadze.

Połamały się ostre włócznie,
Rozprysły się ostre miecze,
Poschodzili z koni bułanych,
Toczą bój zapaśniczy...
Prawa nóżka Dobryni wyszłizgnę się,
Prawa rączka Dobryni zadrzy.
Upadł na ziemię — macochę,
a było to o wschodzie czerwonego słonka.

(Przywrócony do życia przez Aloszę Popowicza za pomocą wody żywej powraca Dobrynia nad ranem do swych sześciu towarzyszy, tymczasem!)

Wstaje Ilia Muromiec raniej, niżli inni,
Przybliża się do Safat — rzeki,
Umywa się chłodną wodziczką,
Wyciera się cienkim ręczniczkiem,
Pomodził się przed świętym obrazem
I postrzeża, jak przez Safat — rzekę
Przeprawia się siła bisurmańska...
Ni tej siły młodzieńcowi objechać,
Ni wilczkowi siwemu obkoczyć,
Ni krukowi czarnemu oblecieć...
Jak nie huknie Ileńka głosem mocnym:
— Hej, gdzieżście bracia ukochani,
Krępcy moi wiciadzeowie?

Jak nie skoczą na siłę bisurmańską.
Jak nie skoczą na siłę bisurmańską,
Zaczynają siłę tłuc — rąbać,
A nie tyłu wiciadze zakolą,
Ilu konie bułane zatłuką —
Zwyciężyli całą siłę pogańską.
Tedy jeli się wiciadze chepić:
— Nie zmachały się nasze ramiona,
Nie ustały nasze konie bułane.
A powiada Alosza — syn popi:

A dajcież nam siłę zaświatową,
My i z taką się wiciadze, rozprawimy.

Ledwie wyrzekł owe słowa nierozumne,
Pojawili się dwaj wojacy*)
I huknęli głosem ogromnym:

— Bywajcie nam tu wiciadze, stocście
z nami bój,
Nie zważajcie, że nas dwoje a was
siedmiu...

Nie poznali wiciadze wojaków,
Rozsierdził się Alosza na te słowa,
Naskoczy na owych wojaków
I rozrąbie ich na odlew na połowę...
Jest ich czterech a wszyscy żywi.
I naskoczy ten Dobrynia młody
I rozrąbie ich na odlew na połowę...
Jest ich ośmiu a wszyscy żywi.
I naskoczy sam Ilia Muromiec
I rozrąbie ich na odlew na połowę...
Jest w dwójnasób tyle, wszyscy żywi.
Tedy kupą naskoczą wiciadze,
Zaczynają siłę rąbać — kłuć...
A siła wdy rośnie i rośnie
Na wiciadźów w bój idzie rozgłosnie.
A nie tyłu wiciadze zakolą,
Ilu konie bułane zatłuką.

A siła wdy rośnie i rośnie,
Na wiciadźów w bój idzie rozgłosnie...
Tak walczyli wiciadze trzy dni,
Trzy godziny oraz trzy minuty.
Zmachały się ramiona krępkie,
Ustały konie bułane,

A siła wdy rośnie i rośnie,
Na wiciadźów w bój idzie rozgłosnie.
Potruchleli rycerscy wiciadze
I uciekli na kamienne góry,
Do ogromnych pieczar niedostępnych.
A jak podbiegnie wiciadze pod górę,
To skamienieje;
A jak podbiegnie wtóry
To skamienieje,
A jak podbiegnie trzeci,
To skamienieje...
I odtąd nie bywało wiciadźów na Świętej
Rusi.
Amen.

To jest staryna i to jest powieść.

*) Wg. niektórych wariantów mają to być dwaj archaniołowie.

OD TŁUMACZA

Tłumaczenie powyższej byliny, zarówno jak i pozostałych przygotowywanych przeze mnie zwolna do wydania, częściowo zaś drukowanych r. ub. we „Wsi”, oparte jest na najstaranniejszym z popularnych wydań — M. Sperańskiego — „Russkaja Ustnaja Słownost” — wyd. Sabasznikowych — Moskwa 1916 — do którego dostęp umożliwił mi znawca twórczości ludowej profesor Julian Krzyżanowski. Jego to rozprawa: „Byliny” — Wilno 1934, a w większym i szerszym stopniu doskonałe wyklady na tajnym studium polonistycznym w latach okupacji zwróciły moje zainteresowania w tym kierunku. Bylina należy do najmniej jasnych dla nas zjawisk literackich. Mimo szeregu mniej lub więcej prawdopodobnych hipotez i bardzo żmudnej pracy pięciu pokoleń badaczy (I-sze wyd. bylin w r. 1804), zgrupowanych w kolejno po sobie następujących szkołach metodologicznych (przy czym największy wkład wniosły szkoły: historyczna i porównawcza) — pozostało zagadką prawie wszystko: i źródło owej energii pieśniotwórczej, która spowodowała narodzenie się bylin, i czas tych narodzin, i przynależność społeczna oraz zawodowa pierwotnych układaczy-recytatorów — może to byli owi znani ze „Stogława” skomorachowie — „śmierchotwórcy” — „glumotwórcy”, na których „nieskromne gry” i „biesowskie pieśni” skarży się cerkiew prawosławna przez XVI i XVII w. aż do pamiętnego zakazu cara Aleksego. Niewyświeślony jest również stosunek bylin do pokrewnych im treściowo i stylowo prozaicznych opowieści-baśni — tzw. „pobywalszczyń”. Nie wiemy mianowicie, które są pierwotniejsze.

Wiadomo tylko, że gdy w II poł. XVIII w. nieznanym nam bliżej Kirsza Daniłow czynił na terenie fabryk permskich pierwsze zapisy bylin, rosyjska epika ludowa była już od dłuższego czasu martwa; nowe watki nie pojawiały się. W instynktownej twórczości przed „zapomnienia” fał — kładziono niesłychanie silny nacisk na jak najdokładniejsze powtó-

żenie tekstu; stąd owo charakterystyczne powiedziśko recytatorów: „Z pieśni ni słoweczka nie wyrzucić, święte ono”.

Recytator był już zaś zwyczajnym chłopem, rybakiem, myśliwym, wyróżniającym się li tylko dźwięcznym głosem i wybitną pamięcią. Bylina schroniła się w obszary dalekie od centrów kulturalnych: Białomorszczyznę, Sybir, Powołże...

Skostnienie rosyjskiej epiki ludowej nastąpiło w momencie dość nieszczęśliwym — mianowicie w początkowej fazie procesu cykliczacji luźnych wariantów.

W formującym się cyklu ostatnie miejsce miała przypadać grupie bylin, której charakterystycznymi cechami są: nateżenie walk z Tatarami, pojawienie się obok nieświadomego groteski bardzo rzadkiego gościa w dotychczasowych bylinach — tragizmu, a wreszcie — śmierć wiciadźów. Grupa ta w zbiorach bylin nosi nazwę „pieśni o zagładzie bohaterów”.

Szkół historyczna — wyczerpując jak zwykłe cały materiał kronikarski i wybiegając zeń wszystkie nazwy geograficzne oraz nazwiska historyczne podobne do bylin (podobieństwa są dość często przypadkowe) dalekimi pogłosami kłęsi nad rzeką Kalką (1224), jednocześnie zaś z uświadomieniem sobie przez zbiorowy geniusz ludu że fakt ten zadecydował o zakończeniu pierwszego archaicznego okresu życia Rosji. Z biegiem lat, gdy „tatarskie igo” zacierało się w pamięci, byliny, idąc po linii narodowej miłości własnej słuchaczy, rozszepeliły się na sam opis bitwy, która teraz kończy się zwycięsko oraz na opis niezależnej od jej wyniku śmierci bohaterów (Sperański). Szkoła porównawcza na podstawie chronologii wędrujących wariantów literackich mocno przybliżyła ku naszym czasom „złoty wiek” bylin (ciekawym i śmiałym poglądom wypowiada Krzyżanowski), zwraca m. in. uwagę na podobieństwo motywu ostatniej bitwy bylinnej z podobnym motywem „Nibelungów” czy podań celtyckich o „królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu” (Wojna z Mordredem). Współczesne

poglądy uczonych radzieckich są mi, niestety, najmniej znane, gdyż, mimo wszystko, co się na ten temat pisze, rosyjska rozprawa krytyczna nie może jeszcze jakoś trafić do rąk szarego naukowca.

Każda ze szkół ogranicza się do jednego przeważnie aspektu zjawiska tak skomplikowanego, jakim jest bylina i każda ma ze swego punktu widzenia w grubszych zarysach rację.

Uważam, że geneza tej grupy bylin tłumaczy się w bardzo znacznym stopniu od strony psychologicznej.

W umyśle prymitywnego odbiorcy utworu literackiego granica między rzeczywistością a fikcją artystyczną nie zaznacza się ani w przybliżeniu z tą wyrazistością, co u doświadczonego odbiorcy kulturalnego. Zatem nasuwa się psychiczna konieczność wytłumaczenia słuchaczowi, dlaczego w jego zupełnie wyraźnej, bez cienia wątpliwości postrzebać pocziwowych bohaterów, jak strzygę przybić kołkiem bronowym do ziemi, ażeby nie siali, zamętu. Mam wrażenie, że dla tej samej przyczyny (podobieństwo nie byłoby wyłącznym wynikiem „rajzerki” wariantów po Europie), tak a nie inaczej ukształtowały się ostatnie wydarzenia „Nibelungów”, cyklu celtyckiego, a nawet dlatego tak niechętnie obszedł się ze swymi monarchiami-rycerzami Homer.

Jest tragiczny patos w śmierci „siedmiu braci ukochanych”. Kamieniejąc pozostawali jednak w błędzie: To nie przechwałka Aloszy sprowadziła nieszczęście, a jednak dziwnym zbiegiem okoliczności w momencie, gdy rozbrzmiewały słowa pyszałkowatego bohatera, stał się Los, ażeby zniszczyć świat bylin, a powołać do życia nowy świat, w którym będą żyli niepiśmienni rybacy, będą słuchać z nabożeństwem, naprawiając w zimowe wieczory swe bardzo długie sieci, rytmicznych opowieści „skaziciela batiuszki”.

Tadeusz Chrościelewski

Władysław Błachut

Zmieńmy gospodarcze oblicze wsi

Sprawy i zagadnienia związane z życiem gospodarczym wsi i materialnym dobrobytem chłopów, bywały dotychczas w skali państwowej traktowane po macoszemu, a w publicznych dyskusjach i pojedynczych rozmowach przy czarnej kawie nie cieszyły się specjalnym zainteresowaniem.

Nawet wywodzący się ze wsi inteligenci, publicyści i społecznie wstydlivi i jakby z zażenowaniem dotykali tych najważniejszych zagadnień wsi, zachowując na ogół wobec tych spraw swoją szlachetnie współczującą obojętność.

Jedynie niektórzy literaci i piśmiennicy dawali i dają w swych utworach mniej lub więcej prawdziwy obraz codziennego, szarego życia wsi, odsłaniając odważnie bajecznie kolorowe zasłony, w jakie otula twarde życie chłopieckie inteligencja i naiwność ekliwicznych sentymentalistów lub tendencyjne zakłamanie różnych frazeologów.

Ale bezwzględnie dokładniejszy i prawdziwszy obraz żywota chłopów pocziwego dopiero daje nam, umiemy i chcącym patrzeć, osobiste zetknięcie się z codziennym życiem wsi, pod warunkiem, że wjeżdżamy pod chłopską strzechę niespodziewanie i bez zapowiedzi, że przyglądnijemy się warunkom życia chłopieckiej rodziny nie „od święta”, od strony świetlicy ludowej, wiecu, kościoła czy odpustu, ale „na co dzień”, od straszaj stajni, chlewu, zabłoconego podwórza i ciasnej izby chłopieckiej.

Wtedy dopiero otworzą się nam oczy na sprawy dotąd przed nami wstydliwie ukrywane, wtedy dopiero znajdziemy sposobność do rewizji naszych dotychczas nieraz zbyt optymistycznych na nie poglądów. Próba takiego wejścia w świat chłopiecki, krótkiego naświetlenia chłopieckiej twardej doli będzie niniejszy szkic nakreślony na podstawie osobistych wspomnień i obserwacji w terenie.

Na wstępie pragnę zwrócić uwagę na to, że dzisiaj po wojnie poglądy przeciętnych obywateli w sprawie położenia materialnego wsi są krańcowo różne a dadzą się wyodrębnić w dwie zasadnicze grupy.

Jedni z pośród tych samorodnych ekonomistów i socjologów twierdzą uparcie, że chłop dlatego tak długo żył i żyje w prymitywizmie i zacofaniu gospodarczym, bo mu z tym było dobrze, bo się do tego przyzwyczaił a i dziś z lenistwa nie chce przyswoić sobie i otoczeniu wyższego poziomu życia, nie chce korzystać z udogodnień i zdobyć gospodarczych, jakie gwarantuje dzisiejszy ustrój.

Natomiast drudzy stoją na wręcz odmiennym stanowisku i twierdzą, że niedza wsi i bieda w chłopieckiej chacie należą już do przeszłości, bo korzystając w okresie okupacji z dobrej koniunktury gospodarczej, chłop wzbogacił się niesłychanie i dziś żyje na poziomie wyższym od stopy życiowej przeciętnego robotnika lub inteligenta pracującego w mieście. Na uzasadnienie tego twierdzenia cytują ze zgorszeniem takie przykłady, jak ten, że chłop w czasie okupacji kupował w mieście pożytkowskie kanapy, a jego żona i córka nierzadko chodziły i chodzą w jedwabnych pończochach.

Jednak każdy nieuprzedzony i jako tako zorientowany w tych sprawach obserwator musi od razu stwierdzić, że obie te zasadnicze opinie o wsi nie odpowiadają rzeczywistości wiejskiej, a prawda w tym przedmiocie leży, jak zwykle, w pośrodku.

Nie cofając się zaudito wstecz musimy przyznać, że w okresie międzywojennym poziom życia przeciętnej rodziny chłopieckiej był niesłychanie niski, że robotnik w mieście, choć często borykał się z biedą, żył w bezsprzecznie lepszych warunkach materialnych.

Ten stan rzeczy nie był jednak wynikiem jakiegoś wrodzonego chłopu — jak chcą niektórzy — przywiązania do prymitywu lub wynikającej z zachłanności na ziemi manii oszczędzania, ale prawie wyłącznie rezultatem wiekowych zaniedbań i postępującej z roku na rok, wskutek błędnej polityki rządu sanacyjnego, pauperyzacji rzesz chłopieckich.

Nie trzeba przypominać jak fatalnie na życiu i na chłopieckiej doli zaciążył zniesiony dopiero w drugiej połowie XIX wieku system niewolnictwa pańszczyźnianego oraz niesprawiedliwy w Polsce międzywojennej podział własności ziemskiej, gdzie na trzy miliony gospodarstw rolnych, blisko dwa miliony stanowiły gospodarstwa karłowate (niżej 5 ha.), gdy równocześnie wielkie obszary ziemi były skupione w rękach nielicznej stosunkowo grupy obszarników i stanowiły podstawę dobrobytu tej na krzywdzie chłopieckiej wyrósł elity.

Przy ówczesnych cenach artykułów rolniczych (np. pszenica 100 kg. — 15 zł.) przeciętny gospodarz ośmiomorgowy, a więc produkujący częściowo na zbył z trudem wygospodarowywał fundusze potrzebne na zakup sprzętu gospodarskiego, na wózów sztucznych i najkonieczniejszego okrycia na zimę i to pod warunkiem, że ograniczał do minimum spożycie wytworów swego gospodarstwa i mieszkał z konieczności w warunkach prymitywnych. Nie mógł również marzyć o kształceniu dziecka w mieście, ani też pozwolić sobie na prenumeratę chłopieckiej gazety.

Czyż trzeba opisywać jak w tej sytuacji kształtowały się warunki życia chłopów kilkumorgowych, którzy z własnego zagonia nie mogli wyżywić swej licznej zwykłej rodziny lub komornika wiejskiego, który żył a raczej wegetował z najmniejszą pracą na pańskim za grosze?

Nie tedy dziwnego, że jeden i drugi, nie mając możności wpływu na zmianę istniejącego stanu rzeczy z rezygnacją opuszczał ręce i tkwił w miejscu, znosząc bez szemrania swój ciężki los. Desperacki strach chłopiecki był raczej ograniczoną terenowo i na ogół nieudaną organizacyjnie manifestacją polityczną.

Kogo interesowało wówczas zagadnienie materialnych warunków chłopieckiego życia, ten mógł zauważyć, że nasz chłop małorolny mieszkał wraz z całą, nieraz bardzo liczną rodziną w jednej sasiadującej ze stajnią izbie o polepie glinianej zamiast podłogi, że sypiał na barłogu przykrytym workiem z tym, że czy zimą czy latem okrywał się dostatnią pierzyną. Jedynym może przedmiotem zbytku w chłopieckiej chacie, że z nastaniem zmroku nie zapalał lampy, bo nie miał na naftę, że on sam i jego rodzina tylko na wielkie święta lub w razie śmiertelnego wypadku w domowym świetle zwierząt spożywali mięso, a kromka chleba z masłem lub jajko stanowiły nadzwyczajną premię dla chłopieckiego dziecka! Do wyjątków należały wówczas wsie, gdzie — jak na Podhalu — rozwijało się bardziej wygodne, choć prawie wyłącznie na zysk obliczone, budownictwo wiejskie, lub gdzie ze względu na urodzajność i umiejętność uprawy ziemi oraz wielkość gospodarstw chłopieckich (poznajskie) warunki bytu rodziny chłopieckiej odbiegały od wyżej opisanych z charakterystycznych, co jeszcze raz podkreślam, dla przeciętnych gospodarstw w znakomitej większości gromad i osiedli wiejskich!

Osobną i niepokojącą pozycję w tym układzie stosunków zajmował problem milionów bezrobotnych na wsi, którego to problemu ówczesny rząd sanacyjny nie kuśił się nawet rozwiązać.

Nie ulega wątpliwości, że na tym ponurym tle okres okupacji niemieckiej zasnął się w życiu wsi w okresie początkowym pod względem materialnym pewną pozorną zmianą na lepsze.

Traktując okupowane tereny polskie jako obszar eksploatacji rolniczej dla wyżywienia wojska i ludności niemieckiej, z braku własnych rezerw ludzkich, Niemcy tolerowali chłopów, jako potrzebną i taną siłę roboczą i do czasu traktowali ich należycie a nawet kokietowali gospodarczo. Nie trzeba podkreślać, że to fakt znany, że polski chłop umiał przechrzyć Niemca i pod względem narodowym nie dał się sprowadzić na manowce, by w następnej fazie rozgrywek z Niemcami wziąć najczynniejszy udział w Batalionach Chłopskich i w akcji sabotażowo - dywersyjnej polskiego podziemnego ruchu oporu.

Niemniej początkowo umiał wyzyskać swoje uprzywilejowane stanowisko producenta troskliwie racjonowanych dóbr doczesnych i dzięki korzystnej początkowo dla chłopów rozpiętości cen między artyku-

łami przemysłowymi a wytworami gospodarstw wiejskich, jakie — mimo czujności okupanta — zdołał rzucić na rynek, osiągnął nieco wyższy poziom życia w znaczeniu materialnym. Niezależnie od tego, że wzrosło bezpośrednie spożycie zamożniejszego chłopów, w gospodarstwie wiejskim pojawiać się zaczęły nowocześniejsze maszyny rolnicze, poprawiło się urządzenie wnętrza chłopieckiej izby, skrzynia i komora chłopiecka, zapełniły się dostatniej- szym choć czasem równocześnie tandetnie modniejszym okryciem.

Ta poprawa była jednak — jak wspominałem — udziałem gospodarzy zamożniejszych, produkujących częściowo na zbył, bo równocześnie los chłopów właścicieli gospodarstw karłowatych, a ci przecież stanowili i stanowią na wsi znakomitą większość, oraz dola biedoty wiejskiej uległy wskutek obciążenia kontyngentowych gwałtownemu pogorszeniu.

Nie trudno jednak stwierdzić dziś, że i te początkowe zdobycze gospodarzy bogatszej elity wiejskiej w rozwoju wypadków wojennych nie zostały majątkowo zrównoważone ze stratami gospodarczymi, jakie poniosła wieś polska wskutek bezpośrednich działań wojennych, zwłaszcza w pasach przyfrontowych, dalej przez kolosalne ofiary w pogłowiu bydłem na obszarze całego kraju, oraz wskutek przemarszów armii zwyciężonych i zwycięskich przez tereny polskie.

W rezultacie działań wojennych i rabunkowej gospodarki zbankrutowanych militarnie Niemców wyszła wieś polska z okresu okupacyjnego i weszła w prógi wolności przeciętnie bardziej zubożała, choć bez wątpienia więcej uświadomiona gospodarczo. Wielu chłopów otarło się o szeroki świat, wielu wprzęgło się w akcję przygotowawczą postępu gospodarczego wsi, wielu wreszcie zajęło się handlem.

Nie bez znaczenia pozostała tu przede wszystkim ciężka i oświadczenia dla niejednego bolesna lekcja pogładowa, jakiej udzielił Niemcy wywołany do pracy w niemieckim rolnictwie chłopom polskim oraz tu na miejscu w t. zw. Gubernii Generalnej przy wzorowym zagospodarowywaniu niektórych obszarów dworskich lub większych (komasowanych) gospodarstw na terenach przyłączonych do Rzeszy.

Nadto pewne zdobycze codziennego komfortu stały się już na stałe własnością zamożniejszych wsi, nie dotkniętych bezpośrednio działaniami wojennymi.

Ponieważ jednak wzrost stopy życiowej chłopów uwarunkowany jest ściśle pomyślnym dla wsi rozwojem stosunków gospodarczych a tych — mimo niewątpliwie dodatnich skutków reformy rolnej i poczynania organizacji społeczno-gospodarczych ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej na czele, — wskutek wiekowych zaniedbań nie dał się w krótkim czasie radykalnie zmienić na lepsze, więc też i drugie z powołanych na wstępie pseudoautorytatywnych twierdzeń, jakoby chłop żył dziś w dobrobycie, nie znajduje jeszcze w rzeczywistości wiejskiej pełnego uzasadnienia. Jeszcze dziś stosunek wartości plodów rolnych do cen artykułów przemysłowych nie zawiera specjalnej premii dla chłopów, a nawet na kilku odcinkach dysproporcje cen (rozwarcie nożyc) na niekorzyść wsi występują wyraźnie. W szczególności przemysł skórzany, tak ważny w gospodarskim życiu wsi (buty, uprzęż), produkuje dziś w przeliczeniu na wytwory plodów rolnych znacznie drożej, niż przed wojną. Chłop rozumie, że powodem tego stanu rzeczy są ogromne zniszczenia wojenne i brak niektórych surowców, ale pragnie i oczekuje zmiany na lepsze. Dziś mimo hasła „przemysł dla wsi” jedynie bogatszy chłop, czyli ten szczęśliwiec, który jest w stanie dość dużo produkować na zbył, uzyskuje za wy-

twory swej ciężkiej pracy cenę, która pozwala mu może na stopniowe i powolne wyrównywanie ubytków inwentarza żywego i martwego, niekiedy na luksus doprowadzenia elektryki do domu i na zaspakajanie niezbędnych potrzeb, ale i jemu nie pozwala na poważniejsze inwestycje w gospodarstwie rolnym, na wyższy poziom życia lub na lepsze warunki osobistego bytu. Sprawy kultury wsi pozostawiam na boku, zwracam jedynie uwagę, że i te kształtują się w ścisłej zależności od warunków gospodarczych wsi i odwrotnie.

Dlatego dziś chłop — poza małymi wyjątkami — jeszcze żyje i mieszka nadal w opłakanych warunkach a spożycie w jego gospodarstwie domowym nie wiele odbiega od opisanego, jako charakterystyczne dla okresu międzywojennego. Jedynie postępująca elektryfikacja i radiofonizacja wsi stanowi jaśniejszą pozycję w dzisiejszym układzie stosunków gospodarczych na wsi.

Wprawdzie przez podział gruntów dworskich wzrosła przeciętna zamożność wsi a wskutek zdobycia dla osadnictwa wiejskiego słowiańskich obszarów na Ziemiach Odzyskanych zmalało zmorowate bezrobocie na wsi, to jednak — mimo wszystko — zaniedbania i potrzeby wsi na odcinku kultury materialnej są tak ogromne, że zbędne ziarno, pasza, nabiał i w ogóle wytwory pracy chłopieckiej — nieraz jakże potrzebne w gospodarstwie chłopieckim — muszą iść na rynek a kromka czarnego chleba z masłem lub jajko będą jeszcze dość długo stanowić premię dla chłopieckiego dziecka za jego pilność w nauce, lub za bardziej realną i efektywną jego pomoc w gospodarstwie domowym.

Jestem pewny, że pod tym względem stoimy na szarym końcu wśród narodów Europy a zawdzięczamy ten stan rzeczy w dużej mierze własnej niezaradności i obojętności odpowiedzialnych za postęp ekonomiczny wsi czynników rządzących Polską w okresie międzywojennym.

Odrobienie tych wszystkich zaniedbań jest dziś jednym z naczelných zadań Państwa, wspomaganego przez świadome swego celu i swych ogromnych zadań społeczno - gospodarcze organizacje wiejskie z Samopomocą Chłopską na czele, która już dziś poczynić się może ogromnymi sukcesami na drodze postępu gospodarczego wsi.

Dalsze poczynania w tym kierunku muszą iść różnymi drogami a pierwszy etap stanowić winna planowa i solidna rozbudowa spółdzielczości oraz organizacja wymiany artykułów przemysłowych na wsi. Eliminując ze wsi kosztowne pośrednictwo handlowe tym samym obniżymy cenę wytworów przemysłowych i ew. przy pomocy rozumnej polityki interwencyjnej — utrzymamy na odpowiednim poziomie ceny plodów rolnych. Dalej należy przystąpić do budowy przemysłu przetwórczego i rozładowania w ten sposób bezrobocia na wsi, gdyż ani osadnictwo zachodnie, ani też przemysł i rzemiosło w mieście nie wchłoną zbyt szybko nieproduktywnej dziś nadwyżki ludności ze wsi.

Specjalne wysiłki należy poświęcić wreszcie sprawie komasacji gruntów wiejskich oraz zagadnieniom podniesienia kultury rolnej i wiejskiego wydobycia z gruntu chłopieckiego. Wreszcie przez elektryfikację coraz liczniejszych ośrodków wiejskich należy stwarzać ramy i warunki częściowego uprzemysłowienia wsi. Praktyczne przeprowadzenie tych założeń w niedługim czasie winno przynieść opłacalność rolnictwa i zachęcić do większych inwestycji w rolnictwie a przez zwiększenie wytwórczości rolnej — po całkowitym nasyceniu zapotrzebowania wewnętrznego na wyższym od dzisiejszego poziomie — stworzyć ramy polskiego eksportu rolnego. Prawda, że realizacja tego zakrojonego na miarę pokoleń dzieła, uzależniona jest od odpowiednich a dziś niewystarczających jeszcze podstaw finansowych, od odpowiednich kredytów wewnętrznych i pożyczek zagranicznych.

Dużo jednak zależy również od samych chłopów. Nie ulega wątpliwości, że tylko ich zrozumienie dla tych poczynania, a przede wszystkim ich szczere i lojalne współdziałanie z czynnikami powołanymi do odbudowy gospodarczej wsi, przyspieszy osiągnięcie wytkniętego celu, jakim jest podniesienie stopy życiowej chłopów na wyższy niż dotąd poziom. Nie ulega przy tym wątpliwości, że podziwignięty z dzisiejszej nędzy do ludzkich warunków bytu, chłop polski wykaże należyte zrozumienie dla przejawów kultury narodowej, stanie się jej konsumentem a także weźmie udział w twórczych procesach Narodu na wszystkich odcinkach działalności Państwa.

Edmund Calka

R A N E K

W gałęziach sadu słońca trzepocą poranne,
gdy w oczach dzień roznoszą w pole idące panny.

Liście płoną, spadając. W zwichrzzonej kurzawie
Ktoś obłoki porywa i układa w stawie.

Domy idą w niebo ścieżkami dymów,
ku pracującym w polu zapachy śniadania płyną.

Jan Maszałek

Literatura pod strzechą

STWIERDZENIE

Na początek takie lapidarne stwierdzenie: wieś nasza żyje bez książki. Nie jest to żadna rewelacja. Każdy z pewnością mniej więcej zdaje sobie z tej sytuacji sprawę. Rzeczywistość z jaką ja mam się okazać stykać jest jednak tak alarmująca, że nie sposób tej sprawy pominąć milczeniem.

Oto wyniki przeprowadzonej w moim środowisku ankiety: na sto rodzin chłopskich znalazło się 8 książek w tym tylko jedna („Baśnie norweskie”) wskazuje na to, że kupił ją ojciec z wyraźnym celem podarowania jej synkowi. W 7 pozostałych wypadkach zarówno dobór książek jak i ich stan (powyrywane kartki, brak okładek, części większych całości) nasuwają przypuszczenie, że właściciele ich znaleźli się w posiadaniu swych książek zupełnie przypadkowo.

Wypada przy tym zaznaczyć, że wieś, a raczej wsie, z których czerpałem materiał do niniejszego artykułu, to bynajmniej nie „świat deskami zabity”.

Dzieje się to bowiem w centrum Polski, w okolicy Łodzi. 4 te wsie odległe są 2—3 km od najbliższej stacji kolejowej, położone przy szosie, wiodącej do odległego o 8 km miasteczka. A więc styczność ze światem jest. Gospodarze na ogół też nie biedni.

ANALFABETYZM CZY BIEDA

Stan taki mógłby usprawiedliwiać lub przynajmniej wyjaśniać tylko analfabetyzm lub bieda. Oba te przypadki nie mogą tu jednak być brane pod uwagę.

We wszystkich 100 wypadkach, które badałem, miałem do czynienia z ludźmi, którzy potrafili czytać i pisać, nieraz nawet biegle. Czytają sobie od czasu do czasu gazetę (bo tam mowa o polityce), piszą sążniste nieraz listy do krewnych i znajomych, z rozmowy widać, że są dosyć rozgarnięci i obcy we świecie, że mają swoje poglądy na wszystkie dotyczące ich bezpośrednio sprawy. Potrzeby czytania jednak nie odczuwają.

To dla nich nie jest żadna rozrywka. Jedyna godna ich rozrywka to kieliszek, oczywiście nie jeden. I ta miłość, jaką zdają się pałać do monopolu spirytusowego utwierdza mnie w przekonaniu, że biedy u nich biorąc ogólnie być nie może. Oczywiście są biedniejsi i bogatsi i są całkiem biedni. Ale u wszystkich nieomal znajdzie się na „pół butelki”. Zje tak jak go na to stać, ale wypić musi też od czasu do czasu. Bez tego życie nie miałoby dla niego widać sensu. Nie jest to bynajmniej jakieś picie desperackie dla „zalania robaka”, ale delektowanie się po prostu ognistym trunkiem.

A więc ani bieda, ani analfabetyzm nie mogą być wysuwane jako przyczyny niechęci chłopów do książki.

PRACA W POCIE CZOLA

Już bardziej usprawiedliwiająca chłopów w jego niechęci do książki jest ciężka praca rolnika. Praca, która ogłupia wprost człowieka, pogrąża w krąg drobnych nieraz spraw i kłopotów, która absorbuje całkowicie jego myśli i uwagę i nie pozwala na chwilę wytchnąć. Praca, która nie zna nierzadko pory obładowej, która zaczęta o wczesnej godzinie rannej, kończy się dopiero z nadejściem nocy.

Czy przy tego rodzaju zajęciu, które nie zna ani 48 godzinnego, ani 40 godzinnego tygodnia pracy, może być mowa o jakimś bardziej kulturalnym rodzaju rozrywek?

Mam wrażenie, że częściowo tak. Pomimo bowiem, że chłop ma bardzo ciężki kawałek chleba, że nieraz nawet zjeść nie ma czasu — to jednak nie jest to praca, która wymaga jednakowej intensywności przez cały rok. Są okresy w roku, zwłaszcza okres zimowy, kiedy praca ogranicza się do niewiele czasu pochłaniających zajęć wokół gospodarstwa, w zagrodzie. Długo wieczory zimowe z pewnością skurczyłyby się nieprawdopodobnie, gdyby książka stała się koniecznością chłopów, tak jak dzisiaj kieliszek.

Jednak i tu jest małe nieusprawiedliwienie: kto zna ciężką wyczerpującą pracę fizyczną, ten wie, że równocześnie ze zmę-

ceniem mięśni, występuje zmęczenie psychiczne — znużenie. Trudno jest żądać od człowieka zapracowanego, wyczerpanego pracą w pewnych okresach nad miarę intensywną (wiosenne i jesienne prace w polu, żniwa), by czas wolny od swych zajęć zechciał spędzać przy książce, która też wymaga pewnego wysiłku myślowego. Na taki wysiłek może się zdobyć tylko ten, kto już zasmakował w książce. I tu zbliżamy się do sedna sprawy.

ROLA SZKOŁY W PROPAGOWANIU CZYTELNICTWA

Jednym z głównych celów nauczania języka ojczystego jest rozbudzenie w uczniu zamiłowania do czytelnictwa, bo tylko ono zagradza drogę powrotnemu analfabetyzmowi oraz warunkuje możliwość dalszego samokształcenia ucznia. Nie będzie bynajmniej przesadą, jeżeli powiem, że szkoła na wsi dotychczas tego celu nie osiągnęła, albo osiągnęła go w stopniu tak minimalnym, że ogół pozostał nadal nieczuły na piękno utworu literackiego. Bo i skądże szkoła na wsi mogła rozbudzić zamiłowanie do czytelnictwa, skoro najbardziej popularny na wsi typ szkoły to jednoklasówka, gdzie dziecko chłopskie miało możliwość zaledwie poznać sztukę pisania i czytania w stopniu elementarnym.

Cały czas nauki dziecko stykało się jeno z trudnościami w opanowaniu sztuki czytania. A kiedy po trzech czy czterech latach nauki sztukę tę już posiadało w stopniu dostatecznym, kiedy teraz mogłoby już zasmakować w lekturze książek — musi szkołę opuszczać, bo dana szkoła nie posiadała więcej jak cztery oddziały a na wyjazd do miasta do wyżej zorganizowanej szkoły mało kto mógł sobie pozwolić. I oto cała edukacja dziecka wiejskiego w zakresie nauki języka polskiego kończyła się na elementarnym opanowaniu czytania i pisania.

Ostatnia reforma szkolnictwa za jeden z zasadniczych celów postawiła sobie likwidację jednoklasówek i umożliwienie dziecku wiejskiemu osiągnięcia pełnego wykształcenia w zakresie szkoły powszechnej. Możemy więc liczyć na pewną poprawę na tym odcinku oczywiście o ile i sprawa dostatecznej ilości sił nauczycielskich zostanie pozytywnie rozwiązana.

Pozostaje jednak jeszcze drugi moment utrudniający książkę dostęp pod chłopską strzechę.

OSZCZĘDZIĆ CHŁOPU WYSIŁKU FIZYCZNEGO

Jest nim przeciążenie chłopów nieproduktowną pracą fizyczną.

Czytaliśmy niedawno w jednym z artykułów „Wiś”, że chłop polski, jak kupi gazetę, to chyba tylko na papierosy, natomiast w Ameryce chłop jadąc na pole jeszcze sobie czyta gazetę.

Pomijając pewne przejawskrawienia sytuacji cechujące ten artykuł — boć chłop nasz nie tylko na papierosy gazetę kupuje — nie uwzględnia on zupełnie różnej techniki pracy rolnika polskiego i amerykańskiego.

O ile „nik amerykański czy zachodnio-europejski coraz bardziej upodabnia się do robotnika w fabryce, kontrolującego jedynie pracę maszyny — nasz rolnik tkwi jeszcze w technice sprzed kilkuset lat. Dobrze, że dziś ręczne cepy coraz częściej są zastępowane przez młockarnie. Na ogół jednak postępu technicznego w rolnictwie trudno jest u nas się dopatrzeć. A brak tego postępu wyniszcza chłopów nadmierną pracą fizyczną.

Reforma rolna winna nie tylko dać chłopowi kawałek ziemi, nie raz bez dostatecznego sprzętu i siły pociągowej, ale winna ona również zapewnić taki układ stosunków w państwie, by chłop stać było na inwestycje w sensie zakupu indywidualnego czy zespołowego nowoczesnych maszyn i narzędzi rolniczych, które w dodatku ułatwiłyby mu pracę. W tym sensie reforma rolna musi być doprowadzona do końca jeśli ma ona stać się dobrodziejstwem wsi. A możemy być przekonani, że wtedy znajdzie chłop czas i chęć na literaturę.

RÓWNOCZESNOŚĆ ETAPÓW

Jak więc widzimy, zablądzenie książki pod strzechę uzależnione jest od dwóch momentów: od dobrobytu materialnego chłopów i od umiejętnej propagandy czytelnictwa w szkole. Koniecznym jest jednak, by realizacja obu tych momentów przeprowadzona została równocześnie.

Cóż nam bowiem z tego, że rozbudzimy w młodym chłopie zamiłowanie do czytel-

nictwa, kiedy realne warunki bytowania zmuszą go do zrezygnowania z tak kulturalnej rozrywki, jaką jest książka, z tego prostego powodu, że czasu na rozrywkę w ogóle nie będzie miał zapracowany od świtu do nocy.

Równie dalecy będziemy od celu, gdy podnoszeniu materialnemu wsi nie będzie towarzyszyła równocześnie umiejętna propaganda czytelnictwa w szkole. Dobrobyt materialny chłop może go wtedy zaprowadzić do karczmy.

Koniecznym jest więc, by podnoszenie gospodarcze wsi odbywało się równocześnie z podnoszeniem kulturalnym poprzez akcję oświatową szkoły.

KSIAŻKA, ALE JAKA?

Jedną z przeszkód, które utrudniały książkę dostęp „pod strzechę” był chłopski realizm. To jest ta cecha psychiki chłopskiej, która nakazuje chłopu zajmować się tylko tymi sprawami, które w jakikolwiek sposób mogą wpłynąć na jego codzienne bytowanie. Realizm ten każe chłopowi lekceważyć powieść, jako zmyśloną „bajkę”. Powieść dla chłopów musi być równocześnie w pewnym stopniu o chłopach, musi zahać o sprawy chłopskie. Chłopa bowiem nie oczarują wyszukane historie romansowych hrabin i próżniaczych lordów. Nasz zapracowany chłop nie znajdzie odpowiednika wśród tego rodzaju papierowych charakterów. Życie bohaterów powieści nie będzie odpowiadać jego życiu. A wszak każdy niemal z czytelników lubi utożsamiać się z bohaterami czytanej powieści, zmyśloną przez autora historią nabiera rumieńców życia, czytelnik wtedy głębiej ją przeżywa.

Wśród utworów beletrystycznych, zwłaszcza tego „niższego kalibru” przeważają dziś takie książki, które ze względu na tematykę chłopów naszego nie mogą zainteresować. A przecież czytelnik ma prawo do takiej książki, która mu najbardziej odpowiada, i nie ma bynajmniej obowiązku kupowania książki obcej jego zainteresowaniu, tak jak „nie ma obowiązku kupowania butów, w których chodzić nie może, czy nie chce”, jak powiedział kiedyś P. Hulka-Laskowski.

Wybitny ten publicysta w dyskusji na temat „kryzysu książki” (Sygnały, Nr 30, r. 1937) tak się wyraził:

„Największy i najliczniejszy spożywca wszystkiego a więc także i książki, spożywca lud, nie szuka łatwych wzruszeń ani w polu, gdzie pracuje w pocie czoła i o głodzie, ani w swej mrocznej izbie, ale wszędzie szuka prawdy wyzwalającej. Gdy ukaże się książka o nim i dla niego, to jest dla jego przyszłości napisana, kryzys książki zniknie, między twórcą i spożywcą dojdzie do porozumienia łatwego i cennego. Trzeba tylko według starej niewykorzystanej recepty Mickiewicza „mieć serce i patrzeć w serce”. W tej formule jest cudownie proste rozwiązanie kryzysu książki polskiej. Trzeba przestać uciekać z rzeczywistości w barok, w tradycję, w fidrygizm groteski i zacząć mówić prawdę o życiu i człowieku. W tym jest wszystko”.

POSTULAT GOSPODARCZY

Nie interes zawodowy pisarzy nakazywał i nakazuje pisarzom i publicystom zajmowanie się kryzysem książki ale interes społeczny całego Narodu.

Nie jest bowiem dziełem przypadku, że kraje wysoko uprzemysłowione, to kraje bez analfabetów, to kraje o milionowych nakładach dzienników, czasopism kulturalnych i książek. W krajach tych nie byłaby możliwa wysoka cywilizacja techniczna bez uprzedniej likwidacji analfabetyzmu, dokonanej wspólnym wysiłkiem szkoły i książki, nauczyciela i pisarza.

A wiadomo, że państwa o dużym dochodzie społecznym to nie państwa rolnicze ale przede wszystkim państwa przemysłowe lub przemysłowo-rolnicze. W interesie więc ogólnego dobrobytu Narodu, leży, by książka dotarła „do mas” lub jak kto woli „zblądziła pod strzechę”. Jest to bowiem postulat nie tylko kulturalny ale i gospodarczy.

Wiktor Woroszyński

Ż N I W A

Otrzeć rękawem
spocony łeb,
oczy
rozrzucić wśród rżysk, —
myśli
krótkie, jak kosy błysk:
— Ziemia. Zboże. Chleb.

Sila.
W ziemię, sparzoną nowiem
stopy
wparły się
bose.

Krew — rozżarzoną w żyłach ołowiem.
W dłoniach
bulawę ma —
kose.

Kosę, jak zęby,
w zboże
wbicie,
znowu ziemię obnażyć
czarną,

Później w snopki powiązać
żyto i życie,
wymłócić treść jego —
ziarno.

Po młóce —
worki z ziarnem
na wóz,
jazda
do młyna
przez wioskę!

I wraz z tym ziarnem
będzie wioził

Słońce,
Wolność,
Polskę — — —

Józef Bieniek

NA ŚLĄSKIM PODHALU

Bogaty urok jesieni ma w sobie głęboki ton dobrego spokoju i dostojnej ciszy. Jej osobliwe piękno porównać by można do wnętrza starej świątyni, gdy sączone się po przez wielobarwne witraże słońce rozpyla w półmroku chłodnym tęczęw bań, opromienioną bezgłośnie śmiechem aniołków, obozujących wśród lśniących złotych ołtarzy, u stóp Najwyższego, zasłuchanego w szept modlitw, szeleszczących jak opadające liście.

Ale tu w Górach Olbrzymich piękno jesieni ma chyba stokrotnie spotęgowaną wymowę: Mieszane lasy zarastające potężne cielska gór tworzą przedziwnie wspaniałą mozaikę barw — tu ogniska buków goręją najczystszy złotem, tam brzozy jak parafinowe gromnice świecą konającej naturze żółtawym blaskiem ostateczności obok zaś modrzewie rudawymi plamami skaczą niby wiewiórki po mrocznej zieleni jodeł. A wszystko to leciuchno spowite niebieskawym welonem sreżog, przesycającej widnokrąg aż hen po szczyty, które, jak kapryśna dziewczyna, raz odziewają się wełnianą koldrą chmur, by za chwilę roztrąciwszy mgły przeć w błękitną powalę nieba, niby gromada zuchwałych tytanów pragnących zbadać tajemnice Boga.

W dolinach ludnych gra słońce na klawiszach okien i blaszanych dachów błyskotliwą pieśń — z wyłożonych sadów srebrno - szkliste ogniska kłują oczy ostrością blasku. Z pomiędzy lasów, cadów i dachów wystzelają smukłe pnie fabrycznych kominów, nad którymi chwiewają się modrobure gałęzie dymu.

Huczą miliardokonne motory Życia. Po lśniących niciach szyn i czarnych tasiemkach dróg palce niewidzialnego olbrzyma przesuwają bezustannie ziarna Ruchu. Jadą pociągi pełne ludzi, a lokomotowy, niby tatrzańscy harnasie, zdobne w długie pióra dymu zawadiackim szumem i gwizdem trątują obmokłą ciszę pól sennych i mrocznych lasów. Po szklistej czerni asfaltu grają motory rzeźką melodią biegu oddychając głośno i zawzięcie, mkną bezszelestnie rowery, dudnią furmanki, człapią piesi.

Wszystko niby tak samo jak w parę lat wstecz, a przecież inaczej. Jakże bardzo inaczej!

Nad szczytami i dolinami, skroś lasów, pól i dróg zaległy inne czasy i inni ludzie. Polskie czasy i polscy ludzie!

* * *

Człowiek od Śacza czy N. Targu, gdy po przejechaniu blisko 600 km wyląduje w Wałbrzychu, Kamieniu lub Jeleniu Górze nie zdaje sobie po prostu sprawy z różnic przebytej przestrzeni. Gdzie rzuci okiem góry i lasy, a pod nimi szachownica pól. Wszystko prawie takie samo jak tam. Wydaje mu się tylko, że góry jakby przytyły, rozrosły się i spotężniały, że w obliczu zimny ciepłej odziały się gęstą sierścią lasów. Ulegając sugestywnej sile wspomnień przybysz gotów jest przysiąc, że to Podhale, Beskidy, Gorce — u których stóp nie Jelenia Góra to a Śącz, nie Krzyżatka, Cieplice czy Karpacz — lecz Krynica, Żegiestów lub Szczawnica.

Wystarczy jednak wyjść za miasto by złudzenia zgasy pod silnym powiewem następującej zewsząd kultury.

Idę oto przez szereg wsi i wciąż zdaje mi się, że to pomyłka, że wciąż jeszcze nie opuściłem miasta. Murowane piętrowe domy, otoczone wieńcami sadów i grzędami kwieciami — są takie same jak i na Alei Obrońców. Ciszej tu tylko, więcej przestrzeni i nieba.

Skroś pól, niby armia postępu, stoją szeregi słupów podtrzymujących potężnymi ramionami gęstą sieć przewodów wysokiego napięcia. Ich to treścią huczą maszyny licznych fabryk i rozpalają się co noc miliony świateł po miastach i wsiach, drząc w głębinach mroku jak gwiazdy. One to parobkują niezmęczenie u gazdy - osadnika, ciągnąc mu młocarnię i żarna, rznąc drzewo i sieczkę.

Idę po błyszczącej smudze asfaltu. Obok drogi stoi na samotnym grobie krzyż z niebieskim hełmem na szczycie. U jego stóp

placze stara Frau Müller, a nad nią zawodzi jesień wichrem i deszczem. W taki czas gdzieś tam między Bobową a Śaczem wlecz się samotne auto poprzez pas udręki zwany dzięki pomyłce drogą, ostrzeliwując przechodniów seriami błotnistych pocisków. Wreszcie grzęźnie, a obecni ludzie wycierpując encyklopedię przekleństw oglądają połamane resory i łażą za kołami by wyciągnąć „samochód” z bagnistej kąpieli.

Tu przewala się obok setki aut i jakoś nic. Nikt nie wyczynia karkołomnych skoków przez rów by uciec przed zafasowaniem porcji błota, nikt nie życzy szoferowi dostąpienia wielkich tragedii i klęsk i nikt nie przypomina świni wypłoszonej z gnojówki.

Zanurzam się w którąś tam już z kolei wieś. Jej wille byłyby nielada ozdobą Limanowej czy N. Targu. Z gór stacza się lawina mroku zasypując zwolna dolinę. Wtedy gładnemu światłu przybiega na pomoc człowiek, rozpalając miliony elektrycznych lśwień — jakby słońce pokruszył i w każdy dom rzucił jego maleńką część. W rozżarzonych wnętrzach domostw, ponad stołami pięknie nakrytymi, pochylają się kobiety o dobrych roześmianych twarzach, podając utrudzonemu mężom strawę.

Tu i tam dzwonią echemi świata radia. W kręgu dźwięków siedzą ludzie zasłuchani, cisi i spokojni. Tu rozbudzone człowieczeństwo dosięgło granicy praw ludzkich i człowiek stał się Człowiekiem.

Mijam dom po domu. Z okien biją łuny światła i śmiechu. Jak złodziej podglądam czyjeś szczęście tak strasznie mało skomplikowane, a tak wielkie. Oto młode małżeństwo, dwoje dzieci czystuśkich i rumianych zająca co z dymiącej miski, a oni dorodni i syci, przytuleni do siebie i roześmiani słuchają cieknącej z głośnika melodii.

Jest mi w tej chwili niewypowiedzianie źle, smutno i ciężko. Myślę o tych tam z Obidzy i Barnowca, o setkach beskidzkich wsi, gdzie w norach śmierzdzących, ciasnych i ciemnych gnojną się żywoty ludzkie w siłach nędzy i poturacki.

Pocieszam się wreszcie wspaniałą prawdą, że nie ma już między Nysą a Dunajcem żelaznej kurtyny granic, że luna światła tu gorących rozszerza się będzie wciąż, i wciąż wyrwać będzie z mrocznego kręgu niedoli bratnie osiedla na beskidzkim Podhalu, że kiedyś przecież, oby najrychlejszy, od Zgorzelca po Przemyśl, od Szczecina po Suwałki odzieją się ziemie Polski, jej ludzie i sprawy w bogatą sukmanę pokoju, dobra i szczęścia.

* * *

Oto wreszcie coś tak bardzo bliskiego Podhalu — obrazek jakby żywcem przeniesiony znad brzegów Popradu. Od drogi, między willami, ciągnie się pas uprawnej ziemi biegnąc aż na zbocze podskubanej góry. Wózkami zaprzęgniętym w jedną krowę wozu chłop na ten kawałek ziemi nawóz. Pod górę popycha ciężar troje ludzi — zupełnie tak samo jak właśnie w Rytzie lub Piwnicznej. Dymiące kupki gnoju rozmatuje wyondulowana pannica śpiewając „Złociste Chrylantem”. A za chwilę przejeżdża sasiad potężnym wołem złuzować zmęczoną krowę i zaorać ugnojony spłacheć.

Tak tu sobie wszyscy wzajemnie pomagają, nazywając to najniezawodniejszą Samopomocą Chłopską. I może dlatego na całym Śląskim Podhalu w Nysie, Kłodzku, Wałbrzychu, Jeleniu i Kamieniu Górze nie ma już ani skrawka ugory.

Zaorana, rodząca chleb ziemia, tętni życiem, kopalnie, dymiące fabryki, bogate sklepy i ruch, ruch jak w Katowicach i Krakowie — oto najmocniejsza odpowiedź Dolnego Śląska pp. Bevinom, Byrnesom i Churchillom.

Na całym niemal obszarze Dolnego Śląska występuje osobliwe zjawisko, które z pozorów sądząc możnaby nazwać przeludnieniem. Ma ono charakter sztuczny i przejściowy, a powstało, jeśli o miasta idzie, wskutek masowego najazdu elementu pasywnego, niezwiązanego ze Śląskiem niczym jak tylko chęcią łatwego zysku, wyznawców religii „lipy”, kanfu i szabru.

Przeladowane pociągi wywalają codzien- nie na większych stacjach Śląska tysiące

tych nowożytnych Hunnów, którzy okupują miasta i osiedla zachodu, żyjąc dostatnio z „kombinatorstwa” i handlu, uchylając się od obowiązku pracy tam gdzie jej najbardziej potrzeba.

Ulicami miast, jak w Klondike, przewalają się tłumy zaafetowanych poszukiwaczy forsy, na dworcach nie ma miejsca by spocząć, wsiadanie do pociągów przypomina zdobywanie Monte Cassino — a fabryki i warsztaty, kopalnie i biura dalej wołają o ludzi.

Inaczej jest na wsiach. Tu nadwyżki ludnościowe sięgają w tysiące rodzin na powiat, a rozładowanie ich nie jest już rzeczą łatwą ani prostą. Gospodarki indywidualne zajęte są na całym Zachodzie w 100 proc. a repatrianci ze wschodu i zachodu Europy napływają wciąż i wciąż.

Problem ten nie jest jednak bez wyjścia. Lwią bowiem część tej nadwyżki wchłonią Spółdzielnie Parcelacyjne - Osadnicze, które zagospodarować muszą setki tysięcy ha ziemi folwarcznej i dworskiej na całym obszarze Zachodu, leżące do dziś najczęściej odłogiem. Reszta odejść musi do przemysłu, komunikacji, rzemiosła itp.

* * *

Stolicą Śląskiego Podhala jest Jelenia Góra, zwana tu Perłą Gór Olbrzymich. Nazwa miasta które ma w herbie biegnącego jelenia z trójlistną koniczyną w pysku, wiąże się według podania, z ogromną ilością jeleni, które ongiś żyć miały w olbrzymich puszczech rosnących w miejscu dzisiejszego miasta, w jego szerokiej dolinie i okolicy całej.

Dzieje miasta sięgają w zamierzchnią przeszłość, w pogańskie początki państwowości polskiej, gdyż już w IX wieku za panowania Mieczysława I Jelenia Góra była dużą osadą. Polski był jej początek i polskim pozostała ona miastem przez długie wieki panowanie Piastów i Jagiellonów. Dopiero w XV wieku, dzięki różnym intrygom przeszła Jelenia Góra z części Dolnego Śląska pod władzę austriackich książąt Habsburgów, z których Ferdynand I zapoczątkował długi okres niewoli tych uroczysk ziem, zakończony w roku ubiegłym wielkim zwycięstwem armii radziecko - polskiej.

Włócząc się po cmentarzach tutejszych, przeglądając stare kroniki parafialne, spotkać tu można na każdym kroku mocne ślady polskości tych ziem, polskości która przetrwała wieki prześladowań i nie dała się wyrwać wrażliwym germańskim dłońom.

Warto jest wniknąć w historię tych ziem*) Niby wspaniały, fascynujący film przesuwają się fakty i zdarzenia obrazujące poszczególne fazy rozwoju miasta, jak żywe wyrażają postacie polskich władców tej ziemi, ich prawa i przywileje nadawane miastu w trosce o jego rozwój.

I gdy się z nad takiej lektury podniesie głowę, innym już okiem patrzy człowiek na dookółne ziemie i lasy, na wieś i miasta, inny narasta stosunek do spraw tej ziemi, inaczej — goręcej i mocniej uderza serce na dźwięk słów: Odra czy Nysa.

W zakochanym sercu wyrasta potężny płomień wiary w Polskę nad Odrą. Bo ziemia ta są naprawdę nasze!

Były, są i będą!!!

Dziś Jelenia Góra miasto i powiat bez przesady stanowią perłę nie tylko Gór Olbrzymich ale całego Dolnego Śląska. Całe okolice miasta to jedno potężne sanatorium, jeden olbrzymi kompleks terenów wypoczynkowych, wspaniały rezerwat zdro-

*) Sykulisz Józef — Prace o Jeleniej Górze i okolicy.

wia, gdzie mieszkańcy Zagłębia — górnicy, hutnicy i robotnicy leczą zgryzione dymem i kurzem płuca.

Do głośniejszych i znanych w skali Europejskiej uzdrowisk należą: Szklarska Poręba, Karpacz, Cieplice, oraz zakłady leczenia gruźlicy w Krzyżatce, gdzie ordynuje sława europejska dr Hornik, a w luksusowych warunkach zdobywa zdrowie około dwa tysiące gruźlików.

Nad szczytami w pasie Jeleniogórskim króluje dumna Śnieżka (1605 m) oblegana zimą i latem przez rzesze turystów i wycieczkowiczów.

Nietknięte wojną miasto szumi bujnym życiem na wszystkich jego odcinkach. Fabryki papieru i maszyn papierniczych, dywanów smyrnejskich, celulozy, szkła optycznego, części do samolotów, tkalnie, zakłady drzewne, ceramiczne, gorzelnie i dziesiątki, dziesiątki innych idą pełną parą, gruntuje podstawy nowej rzeczywistości. W licznych szkołach, gimnazjach, liceach i kursach zawodowych narasta młodzież Śląska mądrością i wiedzą fachową tak bardzo tu potrzebną w skomplikowanym świecie maszyn i motorów, gazu i elektryczności.

Głód ducha i potrzeby rozrywkowo kulturalne 40-tysięcznego miasta zaspokajają kina, dolnośląski woj. teatr, teatr miejski, częste występy gości z Katowic, Warszawy i Wrocławia, miejska orkiestra symfoniczna, odczyty Klubu Literackiego itp.

Nadmienić trzeba, że do rozbudzenia i rozbudowy życia kulturalnego w mieście i powiecie przyczyniła się niemało OM TUR, działająca tu, spośród wszystkich organizacji młodzieżowych, najaktywniej.

I tak to dzięki zespołowym wysiłkom inteligenta, robotnika i chłopu w rozwoju i odbudowie Ziemi Odzyskanych, Śląsk Dolny zajął lokatę pierwszą. A na bliskie dwulecie narodzin Polski na tych ziemiach będzie on już mógł urządzić potężny pokaz swego olbrzymiego dorobku i niezłomnie polskiej postawy.

* * *

Gdy schodzę z gór ku stacji — odjeżdżając do Szczecina — jest noc. Dolinę miasta zalała mgła kryjąc chybotałe kwiaty światła. Poprzez jej wilgotny gąszcz przedziera się zniszczone tętno miasta: zegary wydzwaniają miary czasu, krzyczą ostrzegawczo klaksofony, huczą motory, a długi zew lokomotywy nawołuje w daleki świat.

Przystaję na zboczach, nad pasem mgieł, chłonąc przedziwne piękno nocy. W dali za doliną miasta, na wysokiej połoninie, gorąją na czarnym tle mroku i lasów drzące światła Karpacza i Bierutowic. Wyżej ośnieżone wierzchołki gór bieleją upiornie w bladej poświacie księżyca niby alabastrowe kolumny podtrzymujące ciemno błękitny dach świata, nabijany, jak góralski pas, złotymi ćwiekami gwiazd.

Od wciąż jeszcze zanurzonych w mgłę domów u skraju miasta dolatuje piskliwa wrzawa bawiących się w dziecińcu niemiec- kich Hansów i Hild. Na tarasie najbliższego domu dziewczęcy głos nuci cichutko melodię: Deutschland, Deutschland über alles... Stukot podkutych butów gasi śpiew, ale mocny męski baryton kończy go wyraźnie skandując: heute noch nicht, aber morgen sicher...

Bezwiednie prawie wyrwa mi się przekleństwo i odpowiedź tutejszym stylem: Jeszcze długo nie, a potem też nie!

Zaś jutro, pojutrze, i heć do końca roku bieżącego dokonywać się będzie ostateczne wysiedlanie Niemców, dokąd ostatni überalles nie opuści tej ziemi na zawsze. Na zawsze!

Od Administracji

Administracja tyg. „Wieś” przypomina wszystkim Prenumeratom o konieczności odnowienia prenumeraty na rok 1947. Prenumeratę należy wpłacać przekazem pocztowym na konto

P.K.O. - ŁÓDZ VII - 1080

Blankiety należy wypełniać **czytelnie** — z podaniem miejscowości i poczty.

Piotr Stanisław Ziarnik

MOZAIKA LITERACKA

Tadeusz Breza „Mury Jerycha” — powieść — Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” — 1946 r.

Nagrodzona w lipcu br. nagrodą „Odrodzenia” za najwybitniejszy tom prozy polskiej, wydany po 1 września 1939 r. książka Brezy, wywołała w opinii czytelników i krytyków kraciowo różne osady, które zresztą dość szybko rozplynęły się, przycichły — zgasty. Początkowo żywe pasje uwielbienia z jednej i potępienia z drugiej strony, świadczą o tym, że „Mury Jerycha” są zjawiskiem ciekawym w literaturze, w miarę ochładzania, zakończone u obydwu stron milczeniem, nie mogły — siłą rzeczy, dać syntetycznego i rzeczowego osądu o tej powieści (tak nazwał „Mury Jerycha” — autor).

Dlatego, jeżeli w tej chwili chce się mówić o tej książce, przeżywa się lęk przed sugestią sądów dwu kraciów, które wzięte pod uwagę mogą stanowić pomoc, ale kryją również duże niebezpieczeństwo. W tym stanie rzeczy najlepiej będzie szukać własnych dróg, słuchać własnych odczuć, uzasadniać własne wrażenia. Co prawda, jest to wyrażenie zgody, że to, co się pisze, jest tylko przyczynkiem tym niemniej gwoździ uczciwości tak tylko można sprawę postawić.

LUDZIE I EPOKA

Zacznijmy od spraw najprostszych. Uderzającym w „Murach Jerycha” jest nagromadzenie postaci, pasja analizy, wspólna wszystkim postaciom skłonność do rozprawiania, rozmyślania i definiowania. Można śmiało powiedzieć, że postaci są w powieści prawie wyłącznie terenem spraw, wokół których krąży myśl autora i które stanowią temat dzieła. Inaczej mówiąc akt sądenia, myślenie konkretnej postaci to zasadnicza forma, w jakiej wypowiada się autor. Ta metoda psychologizowania, nakładanie na każdy wyraz i obraz sita psychologicznego stwarza z postaci zjawiska szczególne. Postaci są bowiem użyte jako forma wyrażania argumentów tematu, więc jako metoda konkretyzacji tego tematu, wreszcie jako reprezentacja epoki po śmierci Józefa Piłsudskiego. Dla charakterystyki epoki — bardzo skomplikowanej w istocie — przez postaci, czy ich sądy, koniecznym byłoby zgromadzenie przedstawicieli wielu środowisk, wszystkich właściwie środowisk Polski przedwojennej. To jest w powieści niewykonalne i o to nie pokusił się Breza. Jego postaci rekrutują się ze sfer elity urzędniczej i kulturalnej, ze sfer finansowych, literackich, arystokratycznych, politycznych. Jednym słowem z t. zw. góry społecznej, gdzie wszystkie sprawy mogą być analizowane z intelektualistycznym smakiem i pewnego rodzaju eklektyzmem. W tym środowisku wszystkie sprawy otrzymują patynę teoretyzmu i werbalizmu, która jest również uderzającą cechą „Murów Jerycha”.

Bogata galeria postaci (jest ich około 40) należy przede wszystkim do środowiska warszawskiego. „Akcja” bowiem powieści rozgrywa się w Warszawie (z wyjątkiem dwu rozdziałów, które autor umiejscowił w powiatu i w Wołczynie), jakkolwiek Warszawa ma wyraz tylko w atmosferze utworu, realnie nie prezentując się. W ogóle: rysowane epocze za to służy salonik Krystyny Medekszanki, gabinet Papary, dom Dykierów i salon Sztelmierów — nie opisywane, a tylko wyliczone, bo czyż dyskusji potrzeba umiejscowienia w konkretnie malowanej przestrzeni. Termin akcja użyłem w cudzysłowie, bo trudno o niej mówić w powieści Brezy. Z tego, co powiedziałem poprzednio widać, że autorowi chodziło wyłącznie i jedynie o zanalizowanie ludzi i epoki. Analiza ta jest wyłącznie intelektualna, konkretyzowana nie przez sytuację a przez postaci myślicie i mówiące. W ciągach tych argumentowanych wywodów przewijają się, odzywają, pozornie nawet zawiązują wątki powieściowe, które jednak nie rozwijają się później. Uschną. Wątków tych jest całe mnóstwo, ale żaden z nich nie jest najważniejszy. Bo nie o konkretyzację sytuacji społeczno-politycznej — kulturalnej chodzi w „Murach Jerycha”, lecz o roznucie tematu.

Zobaczmy jak konkretnie te wątki zachowują się w powieści. Dla przykładu weźmy pierwszy: cichy pogrzeb w Wołczynie, repatriowanych do Polski zwłok króla Stanisława Augusta. Sprawę pogrzebu autor bardzo skrupulatnie przygotowuje całym pierwszym rozdziałem, w którym poznajemy Jelskiego — zaufanego premiera i Kozica — oficera z Dwójki. Przed aktem złożenia zwłok następują dalsze przygotowania. Znowu postaci i dyskusja na tematy sztuki, władzy, pogrzebu, tradycji itp.

Panującym zda się motywem jest niecodzienna sytuacja: złożenie zwłok króla w noc — cichaczem w grobach rodziny Czartoryskich, w asyście ciekawych ludzi. (Jelski, Czerni — wojewoda poleski, Sać ojciec — chłop ze wsi, „siedzący na przywileju”, nadany przez króla Stanisława Poniatowskiego, Medeksa, który oskarża króla o zły wpływ na sztukę polską...). To wszystko stwarza kondensację sytuacyjną, każe domyślać się jakiejś celnej parabol historycznej, która rozwinięta w wątek powieści. Tymczasem autor zrzucą ten wątek, wyprowadza „elitę” z kręgu grobów do salonu — na herbatkę i karty i tam zadzierga nowy wątek. Sać — spełniający za ramienia Papary — wódza młodych polskich narodowców — rolę szpiega przy pułkowniku Czernym,

odkrywa się Jelskiemu. Rozdział zostaje zamknięty a czytający spodziewa się, że przyszłe rozwiąże te dwa zadziergnięte wątki. Wątek Sać — Czerni — Smółczanka rozwiąże się, wprowadzi tylko jedną scenę w cukierki, tylko krótkim, lapiarnym zamknięciem, a pierwszy — ogóle nie wypływa później.

Na podstawie tych uwag można stwierdzić teraz po raz drugi, że powieść nie ma wątku kierującego i nie ma akcji. Ma — jak powiedziałem już poprzednio — temat. Jest nim sprawa władzy w Polsce.

Temat na studium polityczno-społeczne. Rozpoczyna go Breza od pierwszych kartek, sprowadzając do rozważań o ludziach tego czasu. Postaci zaś rozdziela na trzy grupy: tych — którzy rządzą, tych — których horduje się do rządów i wreszcie tych, którzy szukają się do skoku na władzę — grupę Papary. Lewica nie występuje na scenę ani razu, jest zawsze za ekraniem; mówi się o niej, dyskutuje, ale nie personifikuje, jak inne odcienie ideologiczne.

Temat rozpoczyna Jelski — urzędnik. I o Brezie zaczynający, który czeka na „resort”. Pościąg ta jest dla autora wygodna, bo Jelski zdaje sobie sprawę, jakie jest położenie wzajemne tych grup w Polsce, — „ni sika-szykować siebie, zna wreszcie wszystkich ruchy. Pogrzeb Stanisława Augusta Poniatowskiego wyzwała pogląd na historię i odświeżanie inne argumenty, rozszerzające perspektywę tematu władzy w Polsce, w której nad prochami repatriowanego króla „użali” się tylko chłop i pies”.

Sprawa pogrzebu odświeża tajemnicę stosunku tematu do zdarzeń i wątków. Otóż zdarzenia i wątki, które zajmują kartki powieści, stanowią tylko albo pretekst dla dyskusji nad tematem, albo ułatwiają wywołanie sądu o nim u osób wprowadzonych. Wątków jest dużo, a faktów in statu nascendi mało. Można wyliczyć: podróż koleją Jelskiego i Kozica, pogrzeb króla Poniatowskiego, wizyta Jelskiego u Medekszanki, przyjęcie u Sztelmierów, 2 zebrania grupy Papary, wizyta Jelskiego u Dykierów, kaperowanie Frysza i rozmowa Smółczanki z Saciem.

Jak z tego wyliczenia widać, obraz czasu nie został pokazany wprost. Powiedziałem, że jest filtr psychologiczny dla wszystkich spraw. W czasie dalszych rozważań objawiały się inne bo tamten obowiązuje tylko w odniesieniu do postaci. Czas pokazany jest przez okulary wielu psychik. Dla skrótu powiemy: obraz czasu jest humanistyczny w tym znaczeniu, że powstał z problemów, którymi żyły postaci powieści i wyraża się przez monolog i dialog tych postaci. One stanowią jedyną metodę realizacji o czasie.

Stanisław Lempiński, wręczając Brezie nagrodę Odrodzenia powiedział: — „Dokonaj (Breza) niesłychanie wnikliwej analizy tej epoki z... głębią, wnikliwością, rozległością horyzontów, dalekością perspektyw polityczno-społecznych, moralnych i kulturalno-obyczajowych”.

To zdanie dołączone do uwag powyższych pozwala w konsekwencji powiedzieć: Analiza epoki jako produkt analizy postaci jest realizowana w monologu i dialogu, zapętlających całą książkę Brezy.

POWIEŚĆ PSYCHOLOGICZNA

Zostawiając sprawę meritorycznej oceny adekwatności tego obrazu epoki z rzeczywistością, jako zbyt daleko odbiegającą od literatury, należy teraz zająć się poruszoną w niej wspaniałą zagadką psychologii.

Konsekwencja przyjęcia osób czynnych intelektualnie, myślących o problemach, znajdujących się w polu logicznym tematu, musiała zaprowadzić Brezę do techniki psychologicznej. Przyzywałam się nazywać powieścią psychologiczną taką powieść w której autor uzasadnia każdy czyn postaci typem jej reakcji psychicznych i lubuje się w analizie psychologicznej swych postaci. Breza w tym sensie nie jest psychologiem. Bo ten typ psychologizowania w powieści wymaga zestawień: faktów pozapsychicznych, osób, i związków między sprawami i osobami, oddanych w relacji autora.

„Mury Jerycha” nie operują tymi dwoma wymiarami. Rzeczy, sprawy i stany odbywają się tylko na jednej płaszczyźnie.

Materia, z której autor tworzy swoje koncepcje, postaci, zdarzenia wreszcie, są sądy postaci. Tylko te sądy i opinie dają obraz rzeczywistości, bo tę rzeczywistość rozważają i odbijają. Autor całkowicie ukrył się w postaciach, i dopiero począwszy od rozdziału, opisującego przyjęcie u Sztelmierów ułatwia sobie relację własną poruszanie się wśród postaci, które są czytelnikowi zbyt dobrze już wtedy znane, aby każdy ich ruch — mógł autor rozpoczynać od głowy. Ale wtedy relacje te tak stapia z czytającą refleksją, że trudno je ograniczyć. To zjawisko daje prawo stwierdzić, że psychologizm odgrywa u Brezy rolę metody kompozycyjnej, jak również, że stanowi metodę wprowadzania — przedstawiania postaci powieściowych i wątków powieści. Łatwo zacytować przykłady stosowania tej metody: Choćby wprowadzenie Sacia, dyskusja grupy Papary, w salonie Krystyny Medekszanki, wprowadzenie wątku Czernego.

Ponieważ monolog (refleksja rozpamiętywanie i dialog) odgrywa taką rolę, są one przesyczone logiką. Psychologizm intelektualizowany — to chyba najtrafniejsze określenie dla metody pisarskiej Brezy.

SPRAWA PERSPEKTYW

Ponieważ zarówno powieść psychologiczna, jak problemowa są w tej chwili trudno czytelne, „Mury Jerycha” stanowią również lekturę ciężkostrawną. Trzeba niemałego wysiłku, aby przebrnąć przez gąszcz postaci, problemów i sądów, nie zagubić się w nich, jał — również przejrzeć, kogo i co w kimś Breza potępia, a kogo i co ceni — gdzie jest „empatia autora, gdzie nienawiść?”

Temat powieści w miarę czytania nabiera masę argumentów, rośnie, rozprzestrzenia się, obejmuje liczne osoby i środowiska ówczesnej Warszawy (ministrowie, urzędnicy, bogaci przemysłowcy, konspiratorzy z pracy, wicy, poeci, artyści...), ogarnia szereg problemów (misja Sacia, przygotowanie bluffu z Paparą, pogrom w Otwocku, lasów na Bramurze, stosunek ministrów do urzędników, przeznaczonych na stanowiska i odwrotnie, walka z komunistami, wartość tradycji, itd. itd.), ale tylko po to, aby rozwinąć się w przestrzeń. Nie w głąb, bo o tym możnaby mówić zestawiając obraz Brezy z rzeczywistością, która mogła być taka jak u Brezy, mogła być inną — zależnie od punktów patrzenia i środowisk. Na podstawie „Murów Jerycha” można tylko stwierdzić, że ten obraz jest bogaty i niebanalny. Bogaty, bo skąpany w atmosferze politycznej (większość z osób pracuje w polityce), moralnej, kulturalnej i społecznej; niebanalny bo przepuszczony przez filtr psychiczny postaci bardzo nieprzeciętnych, pozwalających autorowi na snucie dialogu uczonemu, wyrażanego nawet i dowcipnego, który dośiępnąć jest również „ludziom bardzo czytelnym”.

Obraz ten szeroko rozwinięty, o licznych z pasją czytelnika wyszlifowanych fragmentach nie może być objęty jednym rzutem oka nie może być rozsegregowany, centralnie oświetlony. Wszelkie wyszukiwanie wątków, postaci, metod, spraw w „Murach Jerycha” niewątpliwie trudność. I wszelkie stwierdzenia. Dysertacja intelektualna między osobami, grupami społecznymi nie pozwala na proste zdefiniowanie roli tych grup w powieści. Jest zbyt wieloznaczna i uciera i od wszystkich stron równie ważna w powieści. Np. Czerni jest nie tylko mordercą, ale i bohaterem. Sać nie tylko szpiegiem, ale i sędzią sprawiedliwym. Jelski nie tylko typem urzędnika, ale wnikliwym i poprawnie myślącym człowiekiem. Ale żeby tylko tyle. A cała gama przejściowych zachowań się, choćby tylko tych, których wyliczyłem i kontakt z innymi — dysertacja w momentach przejść.

Człowiek — każdy — człowiek może być raz szelmą, drugi raz świętym. Tym twierdzeniem można bronić Brezę, jeżeli dla czytelnika postać z „Murów Jerycha” jest kopią osoby, znanej z przed 1939 r. O ile wiem, Breza nie miał zamiaru korzystać z tej znajomości czytelników, bo pocóż było wtedy dawać nazwiska: Czerni, Zawiszanek, Papara, skoro można było użyć nazwiska z legitymacji, aby było prościej. Gdyby Breza postawił sobie temat wyłącznie moralny, a wielowymiarowość postaci byłaby b. ciekawa, ale nie o to przecież autorowi chodzi. W dodatku żadna z postaci nie rozwija się w powieści, wprowadzi — żonglują tylko argumentami, reagują na argumenty innych itd., ale jak to zwykle bywa nie zmieniają po tym swych sądów — prezentują się więc tylko.

Skąd więc ta wielowymiarowość? Po prostu z braku perspektywy. Postaci, dane w powieści powstały jako kopie osób i Breza kopiował zbyt skrupulatnie. To samo dotyczy wszystkich spraw. Kiedy po przeczytaniu spojrzeć na obraz zanalizowanej epoki ma się wrażenie, jak gdybyśmy oglądali mozaikę równie wyrazistą na początku, jak na końcu.

Ktoś określając różnicę między sztuką Zachodu i Wschodu, twierdził, że sztuka Zachodu jest kompozycyjna, t. zn. elementy utworów tej sztuki kierowane są ku wyrażeniu jakiegoś elementu w sposób najbardziej dobitny, a sztuka Wschodu nie troszczy się o ułożenie elementu w całość, ale tylko o ten element, wykonuje go najdokładniej bez deformacji w imię celu, jaki odgrywa w całości.

Breza w tym względzie daje utwór w duchu Wschodu. Utwór zupełnie niekompozycyjny,

cyjny, złożony z wielu epizodów, mających ze sobą dużo wspólnego, ale kreślonych przede wszystkim dla nich samych. I dlatego tak trudno mówić o „Murach Jerycha”. Znacznym ułatwieniem byłoby rozbić je na epizody, ale wtedy trzeba by zmienić autora, który może wyległymować się w następnych tomach, (już zapowiedzianych) z tej najwyższej cnoty artysty.

ZDANIA I AFORYZMY

Sprawa niekompozycyjności wiąże się ze stylistyką, jaką autor stosuje przez cały ciąg utworu. Cechą zasadniczą stylu jest krótkie i mało złożone zdanie. Cytuję z fragmentu z poza dialogu: „Krystyna z palającą twarzą stawała Jelskiemu swoje warunki. Rzeczywiście nie pomyślał nad tym. Jedną chwilę! Nic prostszego niż jakieś nazwisko. Zamilkł. Ogarnął go ten szczególny rodzaj drażniącego się z nami lenistwa, które chwytają się myśli, lekkość włożyć na nią trud za prosty...”

Albo w innym miejscu: „I znów się Jelski namarszczył i nadał — takie były moje początki, a obecnie taka przystań. Bo zamknęły się lata zapachu, lata ciekawości i niepokoju. Lata pierwszych stawek. — Zdaliśmy już na majstrów — powiedział mu raz Dykier...”

...A Łatkiewicz, bajeczna kariera! Dostał departament mając ledwo po trzydziestce. Ich druh, ich rocznik, kolega z gawęd na folwarku. Ta formacja to niezła rzecz”.

Można cytować całymi stronami. Z monologów, dialogów. Takie proste zdania, rzadko bardziej rozbudowane oddają wielką w zamierzeniu dyskusję, oddają obraz argumentowany. Dobrze, jeżeli układają się w tok prostoliniowy. Częściej padają niespodziewanie, nie, nie wiążą się ze sobą, dziwią się sobie (tak jak i słowa w zdaniach), zmuszone „grać” w jednym obrazie, który rozrasta się werbalnie, nabierając słów i zdań. Trudno cytować, bo trzeba by przepisywać stronicę, na co nie pozwala miejsce.

Obok tych do zasadniczych cech stylu należą: skłonność do używania i tworzenia aforyzmów, zdań z metaforą i parabolą, oraz często rażące stosowanie przedstawień części zdania. Te stałe cechy stylu jeszcze bardziej utrudniają czytanie, podkreślają epizody i części epizodów, a co najważniejsze utrudniają orientację w dłuższym wywodzie. Koncepcje intelektualne trudno pogodzić bowiem z jednością aforyzmu, czy zmysłowości metafor lub parabol, bo metafora znacznie wyprzedza rozumowanie, albo skraca, nie pasując do wywodu. Gdy o tym mowa warto przypomnieć jeszcze jedną niepokojącą sprawę. U Brezy każdy problem poruszony przedziwnie się rozrasta. Ma się wrażenie, że Breza chce go jak najpełniej rozwinąć, wyczerpać do reszty możliwości analizy lub określenia. To prowadzi autora do „pasji werbalnej”, w jaką często popadał w swych powieściach St. Brzozowski. Sądzę, że spośród pisarzy polskich ten jest Brezie najbliższy.

Aby zamknąć ten przyczynok o książce Brezy trzeba jeszcze zaakcentować różnicę we wrażeniach tego samego czytelnika przy czytaniu rozdziałów wyrwanych na „chyb-trafi”, oraz przy czytaniu książki od początku do końca. Nie można zaprzeczyć, że takie rozdziały, jak pogrzeb w Wołczynie i przyjęcie Sztelmierów wywierają silne wrażenie. Napisane — jak zresztą i całość — oryginalną metodą, jednym — a przecież intelektualnym celem służącym — językiem, dobrze skomponowane (szczególnie rozdziały, opisujące przyjęcie u Sztelmierów, gdzie znaleźć można dalekie echa „Wesela” — Wyspiańskiego i „Ozimy” — Berenta), reprezentujące wysoki poziom intelektualny autora, rozległość perspektyw i spraw skojarzonych — dają w czytaniu dużą przyjemność i satysfakcję intelektualną. Inne rozdziały, jak o naradzie z Paparą, lub o spotkaniu Sacia ze Smółczanką urzekają dyscypliną opisu i dramatycznym napięciem.

Alle rozpatrywane w całości — nie jako obrazy — nowele samodzielne, robią wrażenie rozwleczonej mozaiki, w której elementy mają jeden cel: uławnąć się jak najintensywniej.

Czytający nie jest w stanie ustawić się w takim punkcie, aby widzieć całość i nie czuje całości. Gorzej: nie widzi koryta, którym płynie potok obrazów, ram, w których obraz wzrasta.

JUŻ UKAZAŁ SIĘ NAKŁADEM

„CHŁOPSKIEJ DROGI”

PORADNIK ROLNIKA

KALENDARZ NA ROK

1 9 4 7

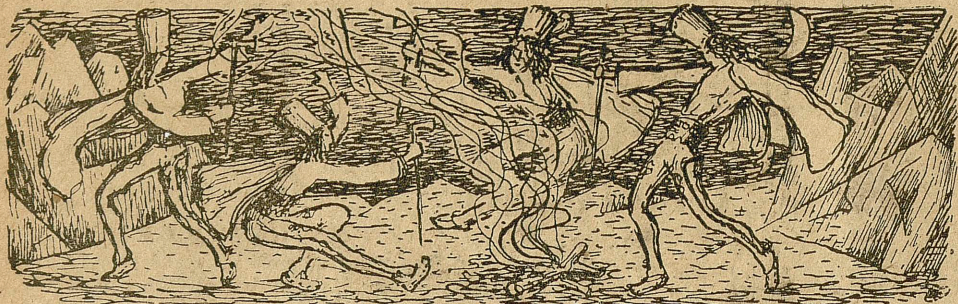
Wielki format. Ponad 300 stron bogato ilustrowanych. Zawiera wiele ciekawych i praktycznych wiadomości i porad niezbędnych dla każdego rolnika.

CENA ZŁOTYCH 100,—

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach oraz punktach sprzedaży i księgarniach „Książki”.

Zamówienia pocztowe z wpłatą należności należy kierować na konto PKO I-1733 na adres: Spółdzielnia Wydaw. „Książka” Warszawa, Aleja 3-Maja 36.





Włodzimierz Wnuk

POWIEDZONKA GÓRALSKIE

Gwara podhalańska jest niewyczerpaną skarbnicą bogactwa językowego — prawda to znana każdemu. Witkiewicz, Tetmajer, Orkan, żeby się ograniczyć do najważniejszych, czerpali z niej obficie i wiele z tych bogactw przekazali kulturze ogólnonarodowej, przyswajając językowi polskiemu mnóstwo przepięknych wyrazów podhalańskich. I choć, zdawałoby się, w tej dziedzinie „nic co góralskie nie jest nam obce”, to jednak ciągle na nowo możemy podziwiać krasę gwary podhalańskiej i ciągle na nowo z niej czerpać.

Wpadły mi ostatnio w ręce notatki p. Bronisławy Kondratowiczowej z Zakopanego, wielkiej miłośniczki Podhala i górali, ostatniej chyba żyjącej postaci spośród tych, które odkryły Polsce region podhalański i ściągnęły ku niemu „ceprów” z dolin. Bronisława Kondratowiczowa, 92-letnia staruszka, żyje sobie samotnie — otoczona tylko dwiema starszymi góralkami w swojej cudownej „Chałupie pod wykrotem” na Szymoszkowej. Myśli jej i uczucia przylgnęły na zawsze do tej niezapomnianej ery Podhala, kiedy to współcześni jej Witkiewicz, Dembowski, Matlakowski i inni kształtowali z entuzjazmem styl zakopiański i odkrywali urok regionu podhalańskiego. Pani Kondratowiczowa (o której przyjdzie osobno napisać) spisywała przez długie lata rozmaite góralskie „powiedzonki”. Leży oto przede mną skromny, pożółkły zeszytek, a na nim drżącą ręką staruszki skreślony napis: „Notatki z góralszczyzny — zbierane od r. 1894”.

Otwórzmy zeszytek i zagłębimy do środka. Pod nagłówkiem „powiedzonko” znajdziemy cały szereg góralskich przysłów, lapidarnych wyrażonek, sentencji, powiedzonek — przy niektórych zaznaczone jest imię i nazwisko tego, od kogo p. Kondratowiczowa „powiedzonko” zasłyszwała. Warto będzie, wydamy mi się, odsonić kartki tych notatek, bo niejednego one zainteresują. Oto ich treść:

Co mi to za pole, kiedy nie zorane?
Co mi to za życie, kiedy zmarnowane?
(Bartuś Obrochta)

Pańskie spanie, dziadowskie śniadanie.

Ryktuj życie na sto roków, a codzień się śmierci spodziewaj (Walek Brzeża)

Z wami to tak, jak z tym miłym ptoke,
cobyś go miał pod pazuchom (Bartuś).

Nieгде sie świat ukołyse... (nie pilno co budować).

Ku wieczorowi gasnem...

Dyc sie mi powala nie doł... (o dużych opłatach podatkowych Teresa).

Izba z takich ino toporzysk
(Walek Brzeża).

Hej niemas to niemas jako chłopu
na wsi,
utnie psu kęs ogóna, kapustę omaści!
(Sabała).

Krompac nie bedzie stukoł o wodzie...
(przy kopaniu twardym głodny robotnik)
(Helcia Brzeża)

„Tako prochnica”... (Teresa Brzeżowa o babie).

Feldfelbel sukoł Wojtusiowego ojca,
a Siecka pedo: „ziubnij ze go dziesiątkom”,
to pote ta nijakiego ojca nie trza mu beło.
(Teresa Brzeżowa)

„Zawdy, kie krowy ku stawom wyżenom,
to leje”. (Teresa Brzeżowa)

„Kie moc majek na smrekach to bedzie
moc gziów”. (Teresa Brzeżowa)

„Jeden drugiemu chleb podaje” (geometra adwokatowi) (Gadeja)

Kie mało okiści beło w zimie na smerkach,
to będzie suche lato.

(o babie) „Niek ino uwidzi, ze jom
choć kielo telo rod widzis, to wnetby
zadem prała” (Gadeja)

Kucharka, co wstanie to ligo, wse jom
na bok piere (leniwa)
(Helcia Brzeżowa)

— „E, tyz siemienie mo, co nie wyzygo”

„Mo ino droge bez wieś”...
(Teresa Brzeżowa)

„Idź do plebona, niek ci odda 5 pa-
pierzów — dyj z babom nie siedzisz”
(Staś Wójciak)

Kie w Zielone Święta poleje, to z mie-
dze wyzyjes, a ze stajonka przedos
(spod Sącza) (Staś Wójciak)

„takie ino wrzecionko” (chudy, mały
człowiek) „to ino taki ohlast beł”
(Teresa Brzeżowa)

„Herbata jak z Wisły, ale beła”
(Helcia Brzeżowa)

Nie zyzoj do psa, to cie nie uzre
(Córka)

„Zuzelnica” — (o babie gorącej)
(Zuzelnica — to skrzynia do wywożenia
zużła z wielkiego pieca hutniczego)
(Teresa Brzeżowa)

...Ino „bele co” wlezie do izby i siedzi...
(o pannie źle wychowanej)

Wto od strachu umiera, temu butami
zwonią.

„Niedorowite towarzystwo” (niedobra-
ne)

Kwalita się przedemnom, siedemnaście
spódnic mom
Ona mimo ino duze, potargane obidwie!
(Helcia Brzeżowa)

...Tak wartko spobożniał, jakbyś go
palyke zacion...

Na św. Jan kosi się pierwszy raz trawę
kosą i rozrzuca się ją po szopach, coby
myszy nie jadły stana

Pan... ta niek wychłódnie... (o prędkim)
„Ze coż tak, prosem Pani, spać nie mo-
żecie” — (wita rano nie milego gościa).

„Spódnica w takie okropne żółte psy!”
(Teresa Brzeżowa)

Bodaj ze ten nie żył, bodaj nie
wiekowoł,
Co pirsy kochanie na świecie fundował!

Hej, bieda, kie sie obiera wrzód,
a cebuli niema.

Ciemno nocko beła, kie my na zbój
pošli,
Nie doł Pan Bóg szczęścia... nic my nie
przynieśli!
(Gadeja, niby żartem)

„Nożyce takie” (chude kurczę)

Nle leż w plewy, to cie świni nie
zjedzom.

Wykrzesoł go po persku.

Diabli pytali takom robote.
(Teresa Brzeżowa)

Oto gwara podhalańska na gorącym uczynku schwytana. Nie ma tu żadnych nadzwyczajności, żadnych rewelacji, a jednak ileż piękna zawiera się w prostych słowach górali: „ku wieczorowi gasnem” lub „nieгде sie świat ukołyse”... I proszę mi odpowiedzieć: czy te same zdania wypowiedziane w języku literackim brzmiałyby równie pięknie?

A kiedy znowu słuchamy, jak Walek Brzeża mówi: „Ryktuj życie na sto roków, a codzień się śmierci spodziewaj”, czyż nie odzywa się tu żyłka filozofa, tak wielu góralom właściwa? Czy nie przypomina nam się stary Sabała i jego sentencje: „W Pana Boga wierz, ale Panu Bogu nie wierz”, „Ociec Stary, pierw, niżli świat stworzył, wiedział, jako na nim będzie”, „Jakiegoś mnie, Panie Boże, stworzył, takiego mnie mas”.

A czyż z zapisanych przez p. Kondratowiczową powiedzonek nie bucha wprost ta kapitalna u górali zdolność dosadnego, obrazowego określenia, o co chodzi? „Prochnica” mówi nam więcej o uczuciowej, wybuchowej kobiecie, aniżeli cała litania innych określeń. „Zuzelnica” na babę gorącą, „takie ino wrzecionko” na mizernego, małego czelczyne mówi również więcej, niż cokolwiek innego.

A wreszcie, powiedzmy sobie otwarcie, niektóre praktyczne rady życiowe potrafi góral lepiej sformułować i wyrazić, aniżeli niejednen pisarz zawodowy. Niechże zatem wszyscy Czytelnicy (łącznie z Redaktorem „Wiś”) zapamiętają sobie, co stary góral Gadeja, mówi o babach: „Niek ino uwidzi, ze jom choć kielo telo rod widzis, to wnetby zadem prała”... Taka jest gwara podhalańska.

I nic dziwnego, że Stanisław Nędza Kubiniec w wierszu „Do mojej gwary” pisze:

I takos:

ostro — jak stol zbójnickiego noza,
piekno — jak zorza w świtów błysku,
cudno — jak ozwito w turniak róża,
słodko — jak dziewce przy watrzisku.
Hej, moja!...

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

WYDAWNICTWA INSTYTUTU WYDAWNICZEGO — WARSZAWA 1946.

Dr Marian Zachert — Jaglica (wydanie 3 pośmiertne) str. 20;
Dr Maria Bogusławska — Magdusine oczy, wyd. III, str. 30;
Dr Ludwik Rostkowski — Jak Wojtek swoją rodzinę od jaglicy ratował, wyd. IV, str. 31;
Prof. Dr Władysław Szejnach — Myśli przewodnie o organizacji opieki nad dziećmi w Polsce, Warszawa 1945, str. 32;
Prof. Dr Władysław Szejnach — Rady dla matek, Warszawa 1945, wydanie VI rozszerzone, str. 60;
Dr Irena Sztachelska — Służba zdrowia na wsi, Warszawa 1945, str. 14;
Dr med. Henryk Murzecki — Dla twego zdrowia, wydanie III przejrane i rozszerzone, str. 142;
Dr M. Zachert — Jaglica, str. 14.

WYDAWNICTWA „KSIAŻKI”

Jan Kochanowski — Odprawa posłów greckich, str. 48.
Juliusz Słowacki — Lilla Weneda, str. 175
Józef Morton — Inkluzowe wiano, str. 328
Kenneth Grahame — O czym szumią wierzby, str. 247
Zygmunt Młynarski — Z dziejów demokracji polskiej, str. 110.
Zofia Żurakowska — Roman i dziewiętnastu, str. 116
Seweryn Pollak — Godzina życia, str. 64
I. F. Polak — Budowa wszechświata, str. 72
Trzyletni plan odbudowy gospodarki Polski str. 64.
Kalendarz uczniowski „Książki”, str. 320

WYDAWNICTWA „CZYTELNIKA”

Stanisław Pięta — Front nad Wisłą, str. 182.
Wojciech Żukrowski — Z kraju milczenia str. 279
Wanda Dobaczewska — Kobiety z Ravensbrück, str. 169
Antoni Olcha — Nowa Naprawa, str. 165
Władysław Rymkiewicz — Rafał z lasu, str. 197
Janina Broniewska — Szlakiem I Armii, str. 173

WYDAWNICTWA E. KUTHANA,
WARSZAWA:

Wanda Borudzka — Na łące pomalowanej słońcem, ilustr. T. Gronowski.
Jan Brzechwa — Ptasie plotki, ilustr. Eryk Lipiński.
Nie każda myszka swój ogonek chwali, str. 14.

WYDAWNICTWA INNE

Pierwszy rok działalności Ministerstwa Zdrowia. Wydawnictwo Ministerstwa Zdrowia, 1946, str. XII + 197.
Stefan Żeromski — Wiatr od morza — Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 258.
Dr Aleksy Deruga — Aktualność Żeromskiego — Państwowy Instytut Wydawniczy str. 46.
Dr Emil Godlewski — Pogadanka o pokarmach roślinnych i sztucznych nawozach. — Nakład Kaspra Wojnara — Poznań 1946 — str. 119.

W OSTATNIM 50 — 51 (78 — 79) NUMERZE „Wiś”

z dnia 22 — 29 grudnia 1946 r.:

Kolędy chłopskie: W tym rajskim sadeczku, Hej, hej, lelija; Adam Sikora — Pójdźcie chrześcijańskie narody; Stanisław Kolada — Jezusiczku mały; Jan Aleksander Król — Ludowe dziś może być to, co narodowe; Stanisław Pięta — Opowieści Adama Kunieja; Edward Marzec — Rozmowa z matką; Tadeusz Papier — Za książką; Na marginesie konkursu „Jakiej powieści chce dalsze życie?”; Lista uczestników konkursu; Adam Szczerbowski — Stanisław Ciesielczuk (1906—1945); Zygmunt Kałużyński — „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale”; Józef Andrzej Frasiak — Nowe wiersze; Piotr Greniuk — Kiepska „wiejskość”; Jan Bolesław Ożóg — Na porwanie żony do miasta; Stanisław Skoneczny — Matka; Stefan Lichajski — Między awangardą a tradycjonalizmem; Leonard Sobierajski — Wskazania; Lista autorów, którzy zamieścili swe prace w roku 1946 w tyg. „Wiś”; 11 ilustracji, stron 16.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Pięta Stanisław.

Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nędza Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wiś”, Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Zwirki 2. D—011268

BIBLIOTEKA ODDZIAŁU WIEJSKIEGO

ZWIĄZKU ZAW. LITERATÓW POLSKICH
ŁÓDŹ, A N D R Z E J A 1 2

- 1. Paweł Kubisz „PRZEDNÓWEK” poezje, drugie wydanie (92 stron druku) — cena 120 zł.
- 2. Józef Andrzej Frasiak „URODZONY W ŻDŹBLE” poezje (160 stron druku) — Cena 180 zł.
- 3. Stanisław Pięta „DOM RODZINNY” poezje wybrane (144 stron druku) — cena 230 zł.
- 4. Edward Marzec „WNUCZEK ORZE” debiut poetycki (40 stron druku) — cena 80 zł.